

wyborcza



PAULA RAKOWSKA
I DOMINIKA KASIŃSKA

Barbie
taka jak my

Ludzie są różni, to lalki były jednakowe

MONIKA
TUTAK-GOLL



Ekspedientka nie chciała sprzedać Dominice butów na obcasie. Myślała, że jest małym dzieckiem, nie powinna więc jeszcze nosić szpilek. Bileter nie chciał wpuścić Dominiki samej do kina. A w sklepie odmówiono jej sprzedaży alkoholu. Dominika jest dojrzałą kobietą po trzydziestce.

Paula chciała, żeby ktoś po prostu koło niej usiadł, pogadał z nią przy kawie. Mówi, „Faceci zakładają, że skoro mam zespół Downa, to o czym ze mną rozmawiać?”.

Wyznaje też, że ludzie się czasem boją osób z trisomią 21. Bo ich nie znają, nie wiedzą, czego się spodziewać. Niewiele o nich słyszeli i czytali.

Kiedy byłam kilkuletnią dziewczynką, bałam się chłopca, który miał zęza. Nie chciałam wychodzić na podwórko, gdy on na nim był. Bałam się, bo nikt mi nie wytłumaczył, że nie ma czego się bać, że dzieci mogą być różne. Bawiłam się zabawkami, które opowiadały wyłącznie o moim świecie. Lalkami o białej skórze, uśmiechniętymi, idealnie zbudowanymi paniami z dużymi oczami i pomalowanymi rękami. Kiedy pies odgryzł mojej lalce nogę, był płacz, że Barbie do niczego się już nie nadaje. Że nie chcę jej już, po co mi taka „nieprawdziwa”. Przyjaciółka przekonała mnie wtedy, że moja lalka jest najprawdziwsza, że tak właśnie jest w życiu – ktoś miał wypadek, ktoś choruje. Ludzie są różni, to lalki są jednakowe.

Trzeba było kilkudziesięciu lat, by powstała lalka Barbie z trisomią 21. A jej stworzenie to duży przełom, to poszerzenie perspektywy dziecięcego świata.

„W szkole dzieci podstawiały mi nogę i śmiały się, kiedy się przewracałam. A kiedy w piaskownicy rodzice mówili mi: »Idź pobaw się z dziećmi«, to dzieci uciekały. Może gdyby każdy bał się taką lalką, nie byłoby tego” – mówi dziś Paula.

Przeszliśmy długą drogę. Aleksandra Więcka pisze w swoim świetnym tekście, że „w ciągu dziesięciu lat przestaliśmy mówić o osobach z niepełnosprawnością intelektualną »downy«, a zaczęliśmy odmieniać przez różne przypadki słowa takie jak »inkluzywność« i »różnorodność«, »edukacja włączająca«.

Ludzie niewiele wiedzą o osobach z trisomią 21, czas to wreszcie zmienić

Na światowych wybiegach pojawiają się modelki z trisomią 21. Portorykanka Sofia Jirau pozuje dla Victoria's Secret, Hiszpanka Marian Avila ma na koncie kampanię dla Levi's

i ślubną sesję w „Vogue”. Media donoszą o tych, którzy osiągają sukcesy – otwierają biznesy, studiują, wychodzą za mąż, zdobywają medale na paraolimpiadach.

Paula Rakowska i Dominika Kasińska, nasze dzisiejsze bohaterki, były uczestniczkami programu „Down the Road”, są aktywne, udzielają wywiadów, prowadzą media społecznościowe, pracują.

„Czy w takim razie krok po kroku tworzymy nowy, bardziej inkluzywny świat, w którym będzie miejsce dla wszystkich?” – pyta Aleksandra Więcka. A ja mam nadzieję, że odpowiedź brzmi: tak. ♦

Monika Tutak-Goll – dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów” i „Wysokich Obcasów Extra”



NOWE, WAKACYJNE „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

Świat bez filtra - czy jest możliwy?

Czy umiemy jeszcze pokazać, jakie i jacy jesteśmy naprawdę? 89 proc. polskich dziewczynek w wieku 10-11 lat nie jest zadowolonych ze swojego wyglądu. Dokąd doprowadzi ta presja? W tym numerze zastanawiamy się, czy możliwy jest świat bez filtra i zakłamywania rzeczywistości. Bohaterki naszych rozmów opowiadają o swoich ciałach, kompleksach, zmęczeniu, życiu wprost, bez fałszu. Z dystansem – jak Ola Żebrowska, ze szczerością – jak Maja Staško czy Orina Krajewska, z odwagą – jak Kasia Lins.

Magazyn dostępny również w wersji z prezentem: wydaniem specjalnym „Psychologia dla rodziców” lub książką.

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



@WysokieObcasy.pl



wysokieobcasy.pl

listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJA:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA

Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska

URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak

MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska
GRAFIKI:
Katarzyna Trzuszczkowska,
Marta Rozenbajger,
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko

DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Woźniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Paweł Bajer,
Lukasz Irzyk,
Mariusz Rosa

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk,
Anna J. Dudek, Magdalena Keler,
Agnieszka Mularczyk, Katarzyna
Seller, Magdalena Stroka-Felicca,
Paula Szewczyk, Natalia Waloch,
Joanna Wróżyńska

INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Aleksandra Mijakoska-Siemion,
Anna Woźniak

KOREKTA:
Małgorzata Mysłowska

SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Agora SA

PREZES ZARZĄDU:
Bartosz Hojka

WYDAWCA:
Agora SA

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTORKA BIURA REKLAMY:
Joanna Kwas
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Katarzyna Obidowska

DYREKTOR MARKETINGU:
Michał Bauer

SPECJALISTI DS. PROMOCJI:
Adrianna Dobrzyńska, Sylwia Wójcik

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański

NAŚWIETLANIE I DRUK:
Agora SA Warszawa

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 66 00

Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega sobie
prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 31, 40 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 29 (1248)

NA OKŁADCE:
PAULA RAKOWSKA
I **DOMINIKA KASIŃSKA**
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL





Sonia pokazała naturalny talent

ZACHWYT TYGODNIA

Justyna Grochal o Soni Szyc



19-letnia Sonia Szyc zadebiutowała na dużym ekranie i wypadła świetnie. W filmie „Miało cię nie być” w reżyserii Jakuba Michalczuka i według scenariusza Katarzyny Sarnowskiej zagrała u boku swojego ojca Borysa Szyc. Nie wiem, czy jego obecność na planie była pomocna, czy wręcz przeciwnie, ale

z pewnością Sonia nie dała się znanemu i bardziej doświadczonemu ojcu zdominować. To, co widzimy w scenach między nimi, to przede wszystkim partnerstwo i naturalna więź. W filmie Sonia gra uzdolnioną muzycznie 17-letnią Ryfkę, która zachodzi w nieplanowaną ciążę. Temat aborcji, którą zamierza zrobić, nieoczekiwanie zbliża ją

z ojcem, daje pretekst do rozmowy i pomaga odbudować ich mocno poluzowaną relację. Na krakowskim festiwalu OFF Camera Sonię nagrodzono statuetką Rising Star przyznaną za najlepszy debiut aktorski w filmie pełnometrażowym. Jury doceniło jej „naturalny talent i łatwość odegrania złożonych emocji postaci prze-

chodzącej przez ciężki osobisty dylemat w młodym wieku” i wyraziło nadzieję, że „ta rola to początek długiej i wspaniałej kariery”. Sonia podobno wcale nie myśli o aktorskiej drodze, ale liczę na to, że zmieni zdanie, bo talent ewidentnie zapisał się w jej genach. Film „Miało cię nie być” trafi do kin we wrześniu. ♦



Sonia Szyc – aktorka, zadebiutowała w filmie „Miało cię nie być”, tegoroczna maturzystka

Justyna Grochal – dziennikarka „Wysokich Obcasów”, pisze o kulturze

PAULA RAKOWSKA I DOMINIKA KASIŃSKA

Pogadajmy przy *kawie*

W szkole uczniowie podstawiali mi nogę i śmiali się, że mam zespół Downa. Kiedy w piaskownicy rodzice mówili mi: „Idź pobaw się z dziećmi”, dzieci uciekały. Może gdyby każdy bawił się taką lalką, nie byłoby tego



Paula Rakowska (z lewej)
i Dominika Kasińska

TEKST ALEKSANDRA WIĘCKA
ZDJĘCIA MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

K

Kiedy w lutym 2012 roku urodził się mój syn Jonatan, nic nie mogło zaskoczyć mnie bardziej niż diagnoza: pani dziecko ma zespół Downa. I nic nie mogło bardziej mnie przerazić. W szpitalu dostałam broszurkę o etapach żałoby, które będę musiała przejść, i cykl wywiadów z rodzicami dzieci z trisomią 21, których życie było tak inne od mojego, że nie byłam w stanie znaleźć w nich żadnego punktu oparcia.

Lekarz wzruszył ramionami, położna powiedziała, że moje życie się skończyło, endokrynolożka - żebym szybko postarała się o następne dziecko. Z telewizji znałam tylko Piotra Swenda w roli Maćka z „Klanu”.

Chwilę później mój kilkumiesięczny syn dostał rozkładówkę w „Przekroju”, a konkurs filmów o sztuce na festiwalu filmowym Nowe Horyzonty wygrał dokument „The Punk Syndrome” - o fińskiej kapeli muzyków z zespołem Downa. Najpierw rodzice osób z niepełnosprawnością, a potem one same zaczęły bywać w telewizjach śniadaniowych. Ich głos zaczął być słyszany. Warszawski Teatr 21, w którym grają aktorzy z niepełnosprawnością, zaczął poruszać w spektaklach takie tematy jak aborcja, seks, pieniądze i śmierć. A kiedy w jednej z telewizji pojawił się program „Down the Road” - przygodowa podróż szóstki dorosłych z zespołem Downa - widzowie pozwalali sobie na lzy wzruszenia, lajki w mediach społecznościowych i refleksje, które dla uczestników programu były oczywiste: najważniejsze to być kochanym, wolnym i mieć możliwość realizacji marzeń.

W ciągu dziesięciu lat przestaliśmy mówić o osobach z niepełnosprawnością intelektualną „downy”, a zaczęliśmy odmiennie przez różne przypadki słowa takie jak „inkluzywność” i „różnorodność”, „edukacja włączająca”. Na światowych wybiegach pojawiają się modelki z trisomią 21. Portorykanka Sofia Jirau pozuje dla Victoria's Secret, Hiszpanka Marian Avila ma na koncie kampanię dla Levi's i ślubną sesję w „Vogue”. Media donoszą o tych, którzy osiągają niezwykle sukcesy - otwierają biznesy, studiują, wychodzą za mąż, zdobywają medale na paraolimpiadach.

Bohaterki tego tekstu - Paula Rakowska i Dominika Kasińska - były uczestniczkami programu „Down the Road”, udzielają wywiadów, prowadzą swoje media społecznościowe, podejmują pracę.

BARBIE TAKA JAK MY

Czy w takim razie krok po kroku tworzymy nowy, bardziej inkluzywny świat, w którym będzie miejsce dla wszystkich?

W 1959 roku Ruth Handler wymyśliła dorosłą lalkę dla dziewczynek, nazwała ją Barbie. Pomysł przyszedł jej do głowy, gdy obserwowała córkę obsadzającą w kolejnych życiowych rolach wycinane z papieru figurki. W tamtym czasie lalka miała formę dziecka i jej zadaniem było osvajanie dziewczynek z „naturalną” rolą kobiety - macierzyństwem. Pomysł, by oswajały się z karierą zawodową, randkami z Kenem i wielkomięskim życiem w różowym kabrioletcie, wydawał się rewolucyjny.

Dziewczynki pokochały Barbie. Firma Mattel podaje, że co sekundę kupowany jest kolejny egzemplarz lalki, a od 1959 roku sprzedano ich około miliarda. Ich matki - feministki lat 60. - kochały ją jakby mniej. Barbie mierzyła się z falą krytyki. Jej status materialny, kolor skóry, figura i biust sugerowały, że różowy świat i przystojny Ken to ścieżka tylko dla piękności o jasnej karnacji. Dodatkowo proporcje klasycznej lalki Barbie odbiegają od typowej kobiecej figury. Skala 1:6 sugeruje, że Barbie przy 175 cm wzrostu ma raptem 45 cm w talii, stopy dziecka i szyję tak smukłą, że mogłaby nie utrzymać głowy.

W odpowiedzi na krytykę firma Mattel wyprodukowała w 1968 roku pierwszą lalkę o ciemnym kolorze skóry - Christie. Barbie o różnym pochodzeniu etnicznym pojawiły się w latach

80. XX wieku, zyskując nowe zawody - od strażaczki po prezydentkę - nowe sylwetki i nowe akcesoria, w tym

wózek inwalidzki, kule, okulary czy ortezy, jak tegoroczna Barbie z zespołem Downa. Seria „Barbie Fashionistas” ma za zadanie pokazywać różnorodną rzeczywistość tak, żeby każda dziewczynka mogła znaleźć Barbie podobną do siebie.

Jeśli przyjąć, że ambicją producenta jest odzwierciedlanie zmian społecznych albo po prostu że inkluzywne lalki dobrze się sprzedają, możemy już wkładać różowe okulary. A jednak kiedy przyjrzeć się z bliska - może się okazać, że na markowych szklach pojawi się niejedna rysa.

ŻYCIE W POLSCE

Jak wygląda życie młodych kobiet i mężczyzn z trisomią 21 w Polsce? Co oni sami o sobie myślą?

Większość z nich mieszka z rodzicami lub opiekunami, niezależnie od stopnia samodzielności, kształci się w szkołach specjalnych, nie podejmuje żadnej opłacanej pracy. Ich autonomia jest ograniczona, podobnie jak prawo do życia seksualnego czy w ogóle - tworzenia relacji.

- W naszym kraju osoby z zespołem Downa od momentu uzyskania diagnozy stają się klientami systemowo zorganizowanej społecznej izolacji, poprzez kształcenie segregacyjne od przedszkola do 24. roku życia i następującą po nim dorosłość zamkniętą w placówkach dziennego wsparcia - mówi Celina Kamecka-Antczak, badaczka niepełnosprawności z UMK w Toruniu. - Większość badań podejmujących problematykę ciała pomija wśród swoich respondentów osoby z niepełnosprawnościami, w tym szczególnie osoby z niepełnosprawnością intelektualną - dodaje. Posiadanie sprawnego i zgodne-



go z wzorcem kreowanym przez media ciała idealnego wydaje się tak nierealnym założeniem, że osoby z niepełnosprawnościami są automatycznie z takich tematów rugowane. Ich ciała postrzega się raczej jako pole oddziaływań medycznych i terapeutycznych. - Z naszych badań z udziałem osób z niepełnosprawnością intelektualną wynika, że chociaż mężczyźni wysoko oceniają swoją atrakcyjność fizyczną i tężyznę, a kobiety ogólny wygląd, to obie płcie bardzo nisko oceniają się w kontekście atrakcyjności seksualnej. A to zgadza się z oczekiwaniami otoczenia, które postrzega je jako osoby aseksualne.

Wielu badaczy tłumaczy takie wyniki dążeniem osób z niepełnosprawnością do spełnienia społecznych oczekiwań, niesprawiania kłopotów, bycia jak najbardziej „normalnym”. Innymi słowy - zmieszczenia się w wąskich ramach, jakie świat pełnosprawnych nakreślił dla osób z niepełnosprawnościami.

Tworzymy je, bo kontakt z „innym” wywołuje w nas dyskomfort. Badacz Harlan Hahn określa je jako niepokój egzystencjalny związany z tym, w jaki sposób niepełnosprawność zagraża wizji zdrowia i funkcjonalnego życia, oraz niepokój estetyczny zagrażający wizji idealnego ciała. Innymi słowy - widok osoby z niepełnosprawnością burzy nasz spokój i wiarę w to, że sprawność i uroda są czymś naturalnym. Zmusza nas do niewygodnej konfrontacji z faktem, że nasz dobrostan jest chwiejny i niepewny, bo na różnych etapach życia wszyscy możemy doświadczać niepełnosprawności związanej z chorobami czy starością. W kontakcie z taką osobą często przeżywamy stres, nie wiemy, jak się zachować, czasem czujemy lęk.

Przełamywanie tego dyskomfortu przebiega w kilku fazach: od pozornej akceptacji przy minimalnym kontakcie z osobami

z niepełnosprawnością („Jakie te dzieci z zespołem Downa są słodkie. Widziałam na Instagramie”), przez przełamywanie się i bliższy kontakt, który sprawia, że przestajemy postrzegać osoby z niepełnosprawnością przez pryzmat ich niepełnosprawności, aż po znormalizowanie relacji, w których niepełnosprawność staje się cechą neutralną. - Wyobrażam to sobie tak. Osoba z trisomią 21 wchodzi na przykład do fryzjera i mówi: „Cześć, chcę podciąć końcówki. Mam zespół Downa, więc nie będę mogła ci zapłacić gotówką. Wpisz odpowiednią sumę i pobierz ją z karty”. A fryzjerka odpowiada: „OK”, i zabiera się do cięcia - tłumaczy Celina Kamecka-Antczak.

Czy lalka z trisomią 21 to sygnał zmian i przejścia na kolejny etap? Być może - jeśli będą się nią bawić nie tylko dziewczynki w szkołach i przedszkolach specjalnych. - W zeszłym roku rozwijałam podcast dla młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną. Planowaliśmy, żeby to były takie coachin-gowe odcinki o rozwiązywaniu codziennych problemów, ale uczniowie - współtworzący podcast - nakierowali nas na coś bliższego obyczajowemu serialu i opowiedzieli mnóstwo historii, które chcieliby usłyszeć o sobie - mówi badaczka. Okazało się, że ich marzeniem jest mieć swoją reprezentację medialną, swój wątek w „M jak miłość”. Żeby jakiś bohater miał zespół Downa, chodził na warsztaty terapii zajęciowej i chciał uprawiać seks, ale nie mógł dogadać się z mamą. - Myślę, że ta Barbie pozwala na dużo reprezentacji w takich obyczajowych sytuacjach. Bo tak się przecież bawi Barbie - biorą śluby, rodzą dzieci, jeżdżą z innymi Barbie różową corvetą na plażę - mówi Celina Kamecka-Antczak. To wszystko w zabawie będzie robić Barbie z trisomią 21. ♦

„JESTEM INNA I DĄŻYĆ CHCĘ SWOJĄ DROGĄ TAM, GDZIE CZEKA MÓJ ŚWIAT”

Paula Rakowska

Teraz absolutnie nic nie robię. A miałam kiedyś różne staże. Najpierw pomagałam osobom starszym. Na początku bardzo mi się tam podobało, ale niestety, pracodawcy nie są w stanie osobom z trisomią 21 dać nawet szansy na pracę, tylko od razu jak się skończy staż - do widzenia. Skończyłam też kurs i dostałam certyfikat baristy. Było bardzo fajnie, bo jestem uzależniona od cappuccino i muzyki... Pracowałam w kawiarni. Jak zaczynałam, to właścicielka chciała nawet apel dać do pracodawców, żeby nie patrzyli na nas przez pryzmat zespołu Downa, że to nie jest choroba, żeby się nie bali, żeby dali nam szansę pracy. A potem znowu się skończyło.

Czasami ludzie się nas boją. Dopiero po programie „Down the Road” to się zaczęło trochę zmieniać. Zaczęli wtedy do mnie ludzie nawet podchodzić, rozmawiać, czasami jakiegoś zdjęcie ze mną zrobić. To było bardzo fajne. Ale w programie też bardzo się bali. Nawet Przemek Kossakowski z początku miał jakieś obawy. Ja też się bałam, jak zostaniemy odebrani. No bo wiadomo, oglądają nas miliony ludzi. I jak ja pokaże, że się boję latać samolotem? Bo

wcześniej z mamą nie leciałyśmy nigdzie, to był mój pierwszy raz. Ale udało się spędzić niesamowite chwile, poznać Chorwację, Grecję, Włochy.

Za granicą czy u was w stolicy jest zupełnie inaczej niż u nas w Bydgoszczy. Tam jest troszeczkę gorzej. Czasami widzę, jak patrzą na mnie, kiedy jestem na ulicy, co jest bardzo przykre, krzywdzące. Ja się zaraz wycofuję. Gapią się starsi, młodzie mniej. Młodzi są bardziej doinformowani, natomiast osoby starsze nie do końca. I dzieci też. Ale powiem żartem, że mam czasami wrażenie, że ktoś mnie rozpoznał.

Po programie bardziej otworzyłam się na ludzi, mam jakąś większą motywację. Ja typową kobietą szczęśliwą nie jestem, ale ten program naprawdę dał nam wiele możliwości. Byłam trzykrotnie w telewizji śniadaniowej, jestem wolontariuszką w schronisku, wyprowadzam psy. Czasami nawet robię zdjęcia na social media, żeby ludzie mogli adoptować te zwierzęta. Brałam też udział w Forum Ekonomii Społecznej jako ekspertka w sprawach zatrudnienia osób z zespołem Downa. W podcaście mówiłam o seksualności nie tylko osób z niepełnosprawnością, ale też osób homoseksualnych. Odebrałam statuetkę w konkursie „Człowiek bez barier”. Miałam brać udział w „Projekt Cupid”, ale nie

chciałam ranić innych osób z niepełnosprawnością, jeśli chodzi o sprawy sercowe. Bo ja, jeżeli miałabym być z kimś, to na pewno nie z osobą niepełnosprawną. Nie czułabym się bezpieczna. Na przykład pod kątem dziecka - rozmawiałam o tym z mamą - urodziłoby się z zespołem Downa. A przy kimś pełnosprawnym jest jeszcze nadzieja, że mogłoby być zdrowe.

Mnie bardzo ciągnie do osób z pełnosprawnością. Jest tak, że dla niepełnosprawnych jestem zbyt pełnosprawna, a dla pełnosprawnych jestem niepełnosprawna.

Ta niepełnosprawność wysysa ze mnie to, co najlepsze. Miałam wiele marzeń, chciałam pójść na studia.

Zaczęłam się interesować wokalistyką, bo ja kocham śpiewać. Miałam plany, żeby pracować, ale niestety, jestem realistką i jestem świadoma tego, że jako osoba z niepełnosprawnością intelektualną nie dałabym rady przeskoczyć pewnych etapów. Ale naprawdę chciałabym bardzo, bo ja kocham muzykę, od dziecka.

Piszę teksty piosenek, które są bardzo mocne i osobliwe. O rzeczach, które przeszłam, o różnych problemach. Piszę, bo gdybym nie pisała, nabawiłabym się czegoś niefajnego. Czasem do siebie mówię: „Paula, napisz to, bo jeśli tego nie zrobisz, to ludzie nie docenią tego, jaka jesteś,

Paula Rakowska



Mam 31 lat, chciałabym,
żeby ludzie traktowali mnie
*jak normalnego człowieka,
jak kobietę, nie jak dziecko*

a w końcu zauważą twój talent i zaangażowanie”. Jeśli nie ja, to mam takie marzenie, żeby jakiś znany artysta zaśpiewał moje teksty – na przykład Edyta Górniak. Albo Dawid Kwiatkowski.

Ale piszę też książki, takie trochę mroczne rzeczy. Bo pomyślałam sobie, że świat nie jest tylko dobry, bo to byłoby całkiem nudne. Liczy się i dobro, i zło. Chciałam pokazać świat od tej złej, mrocznej strony. Teraz piszę romans kryminalny. Mam napisany jeden erotyk.

Chciałabym wyreżyserować to jako film i grę chcę kiedyś zrobić. Może nie taką typową, bo erotyczną grę. Mam kilka pomysłów. Ja szczęśliwa nie jestem, ale gdybym zrobiła coś takiego, moja motywacja by znowu była większa. Bo tak, to większość rzeczy mi się nie udaje: związek z moim chłopakiem, studia. Ja mam instynkt macierzyński w sobie. I do szczęścia mi brakuje na przykład dziecka.

Mam 31 lat, chciałabym, żeby ludzie traktowali mnie jak normalnego człowieka, jak kobietę. Z facetami jest największy problem, jeśli chodzi o osoby z niepełnosprawnością. Ja nawet nie chcę wchodzić w związki, w relacje głębokie czy przyjaźnić się z kimś. Tylko chcę, żeby ktoś usiadł, przy kawie pogadał. Tak jak my tutaj teraz rozmawiamy. Tego mi też brakuje od życia. A faceci zakładają, że „skoro ona ma zespół Downa, to o czym mam z nią rozmawiać?”

Może dlatego też, że oni się boją osób silnych, niezależnych kobiet.

A powinni właśnie być na równi z nami i po prostu odpuścić, nie grać i nie udawać kogoś innego, nie wchodzić w żadne role, nie denerwować się, nie spinać niczym. Bo ja to wyczuję. A chciałabym, żeby taki ktoś sam usiadł i zobaczył we mnie – mnie. Jaka ja jestem. Nie chcę, żeby widział tylko, że mam zespół, tylko żeby zrozumiał, jaką przygodę przeszłam z inną osobą, jakie mam rany na sercu.

Faceci mają troszkę lepiej, bo nie mają tyłu kompleksów. Nie przeżywają tak jak my. Ale dla mnie ważne jest to, żeby kobiety miały prawo decydowania o sobie, o prawach aborcyjnych. Żeby nikt się do nich nie wtrącał, żeby się czuły w zgodzie z sobą. To nie jest tak, że każda kobieta musi mieć chude nogi i nadmuchaany biust! Nie można w ten sposób patrzeć na kobiety. Kobieta chuda jest piękna, z nadwagą też jest piękna, ciemnoskóra kobieta też może być piękna. Dla mnie kobiecość to jest siła, i nieważne, jak się wygląda.

Są już modelki z trisomią 21, aktorzy, ale zdecydowanie mogłoby być ich więcej. Czasem jak widzę, że gdzieś pracują osoby z niepełnosprawnością, to mi się

robi ciepło na sercu, że pracodawcy dają im szansę.

Ja jestem za równością i akceptacją. Nie tylko dla osób z niepełnosprawnością, ale też LGBT. Nie można nazywać ludzi ideologią. Każdy potrzebuje jakiegoś uczucia, tylko każdy inaczej je interpretuje.

Ludzie tego nie rozumieją. Boją się naszych zachowań, bo zachowujemy się czasami dziwnie. Może ja nie, ale są na przykład niepełnosprawności, w których ktoś krzyczy. Ale to nie jest agresja. Wtedy można odejść, zostawić taką osobę, ale też na przykład podejść i zapytać: „Mogę ci w czymś pomóc?”. Ludzie nie rozumieją też naszego wyglądu. Często na przykład oceniają nas – że mamy krzywe oczy, że jesteśmy brzydki. To nie jest takie fajne określenie w stosunku do nas.

W szkole dzieci się ze mnie śmiały, i to nawet te pełnosprawne. Głośno mówiły mi, że mam zespół Downa. Podstawiały mi nogę i śmiały się, kiedy się przewracałam. A kiedy w piaskownicy rodzice mówili mi: „Idź pobaw się z dziećmi”, to dzieci uciekały. Może gdyby każdy bawił się taką lalką, nie byłoby tego.

Nie chcę się chwalić, ale my jesteśmy mądrzy, inteligentni, wyjątkowi. Możecie się z nami naprawdę normalnie porozumieć.

Moim marzeniem jest, żeby się uniezależnić. Tak całkiem. Żyć z kimś, niekoniecznie z partnerem czy partnerką. Z moją mamą znam się 31 lat, więc chyba to już czas, żeby kogoś innego poznać. Z jednej strony kocham bardzo mamusię, ale chciałabym bardzo w końcu poznać smak niezależności. A tego jeszcze nigdy nie miałam.

RÓWNOŚĆ, SZMINKA, TOLERANCJA *Dominika Kasińska*

W tygodniu wstaję o 6 rano, jem śniadanie, później się ubieram, pakuję rzeczy do plecaka i jadę 20 km do pracy, do Niepublicznej Szkoły Podstawowej „Słoneczna Kraina”. Jestem tam asystentką nauczyciela. Zajmuję się dziećmi z orzeczeniem o niepełnosprawności: rozmawiam, wspieram, odprowadzam do rodziców. Jestem przy nich w klasie i świetlicy, pomagam.

Lubię to robić, zabiegałam o to siedem lat. Miałam staże w różnych miejscach, ale one trwały kilka miesięcy i się kończyły, a ja chciałam stałej pracy. Po programie „Down the Road” pani dyrektor zadzwoniła do mnie i powiedziała, że z chęcią mnie przyjmie. No i pracuję już trzy lata.

Z moich znajomych z „Down the Road” wiem, że jeszcze Michał Milka pracuje w urzędzie w Gdańsku, Agnieszka sprzedaje frytki i kawę, Krzysztof niszczył dokumenty w kancelarii, a Grzegorz gra w teatrze. Praca jest bardzo ważna dla nas. Możemy być wśród ludzi, zarabiać na siebie, żeby później stworzyć rodzinę, dom.

Oprócz tego, że pracuję, śpiewam i tańczę w zespole ludowym. Jeżdżę na nartach, pływam, ćwiczę, żeby mieć dobrą figurę. Skończyłam dwie szkoły policealne – technik opiekun pomocy społecznej i administrację – oraz kurs stylizacji i wizażu. Udzielałam się jako wolontariuszka w Stowarzyszeniu Przyjaciół i Osób z Zespołem Downa „Wielkie Serce” i jestem przedstawicielką w Sejmiku Osób Niepełnosprawnych Województwa Śląskiego. Zdobyłam statuetkę Człowiek bez Barier 2020. I jeszcze zasiadam przy okrągłym stole ds. równości dla programu Fundusze Europejskie dla Śląskiego 2021-27.

Mój ulubiony projekt to „Beskidy bez barier”. No bo są projekty dla seniorów, dla emerytów, dla dzieci, ale dla osób z niepełnosprawnościami nie było. Góry nie kosztują. Mamy gondole, które są dostosowane do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. No i stworzyły się ten projekt. Chodzimy w góry, wybieramy sobie trasę, integrujemy się, rozmawiamy, bo to jest potrzebne. Jest poczęstunek dla wszystkich, czasem kapela góralska. Było już 17 rajdów. Przewodnikami była Beskidzka Grupa GOPR. Najpierw był „Szczyrk bez barier”, potem „Beskidy bez barier”, a teraz jest „Śląskie bez barier” i „Jura bez barier”.

Występuję też w pokazach mody. Dużo było tych pokazów. Często na przykład biorę udział w projektach Marioli Turbiarz. Byłam w Warszawie na Stadionie Narodowym, w Krakowie, w Legnicy. Każdy pokaz mody miał swój temat. W Warszawie był pod hasłem „Tolerancja”, w Legnicy to była „Równość”. Później rozmawialiśmy o tym z młodzieżą. Te pokazy są bardzo fajne. Są tam ludzie niscy, wysocy, starsi. Niektórzy są otyli albo bez ręki, bez nogi, a niektórzy mają zespół Downa, ale też są piękni, bo pokazują siebie.

Piękno to jest coś bardzo pozytywnego, coś wyjątkowego, wspaniałego. Może być piękno sztuki, piękno muzyki, ale piękno to jest też wygląd. Chcemy się dobrze prezentować, tak? Ja skończyłam kurs stylizacji. Potrafię zrobić delikatny makijaż. Lubię podkreślić oko, lubię błyszczki na ustach. Lubię dbać o paznokcie, chodzić do kosmetyczki,



Dominika Kasińska

do fryzjera. Lubię sukienki, torebki, bo to wszystko podkreśla kobiecość. Czuję się pewniejsza siebie, jak elegancko wyglądam i mam buty na obcasie.

Lalka Barbie z zespołem Downa? Pewnie, że to jest ważne. Te lalki są bardzo fajne do zabawy dla dzieci z ZD, żeby też mogły zobaczyć, jak ta lalka wygląda, że jest piękna. Ale fajnie by było, żeby zwykła dziewczynka też miała taką lalkę, żeby rozumiała, że lalka z niepełnosprawnością też jest zadbana, ma piękne włosy, pięknie wygląda. I że dziewczyny mają prawo się malować, modnie ubierać i tak dalej.

Gdyby takie lalki były wcześniej, może byłoby mi łatwiej w szkole. Chodziłam do szkoły masowej. Na początku

nie za bardzo mnie akceptowali. Było mi bardzo przykro, bo bywały różne sytuacje. Naśmiewali się ze mnie. Czasami ktoś powiedział, że chodzę jak małpa. I mama postanowiła, że nauczy mnie chodzić prosto. Udawałyśmy, że jestem modelką i chodzę po wybiegu. Nauczyłam się chodzić prosto, mówić wyraźnie.

Ale przykre sytuacje były nie tylko w szkole. Byłam już dorosła, kiedy w sklepie nie chcieli mi sprzedać butów. Ekspedientka myślała, że jestem małym dzieckiem i nie powinnam mieć butów na obcasie. Nie chcieli mnie wpuścić na film do kina, sprzedać alkoholu.

Dopiero kiedy dostałam pracę, poczułam się potraktowana poważnie. To był taki moment, w którym poczułam, że OK, to teraz mogę sobie sama dać radę. Po prostu jestem dorosła, sama podejmuję decyzje.

Jak każdy marzę o tym, żeby się wyprowadzić i zamieszkać samodzielnie albo z kimś. Mamy takie plany, ale na razie mieszkam z rodzicami. Może musiałabym się najpierw bardziej usamodzielnic, żeby później zamieszkać osobno. Wiem, że potrzebuję wsparcia.

Po „Down the Road” dużo się zmieniło. Jestem bardziej otwarta, rozmowna, odważniejsza, rozważna. Wtedy właśnie stworzyłam kanał na YouTube, Facebooku, Instagramie. Mam tam prawie 60 tysięcy obserwatorów! Zaczęłam udzielać różnych wywiadów do gazet, do telewizji. Dużo tego było. Cały czas byłam zapraszana. Wielokrotnie byłam w „Dzień dobry TVN”, chociaż mamy do Warszawy daleko ze Szczyrku. Nawet pogodynką byłam w telewizji. Nie jestem aż taka sławna jak inne gwiazdy, ale mam swoją misję, żeby pomagać innym.

Na początku miałam obawy, czy w ogóle brać udział w „Down the Road”. Po prostu nie chciałam, żeby ludzie mnie utożsamiali z zespołem Downa. Nie wiem, może to była kwestia jakiejś bariery. Nie wiedziałam, jak będzie ten program wyglądał, jak mnie w nim przedstawią. Ale później od mamy się dowiedziałam, że mogę pojechać, poznać świat, poznać ciekawych ludzi, i zdecydowałam się jechać. Ostatecznie to było wspaniałe.

Ludzie zaczynają rozumieć, że mamy prawo do marzeń, *do uczuć, do pracy*

Wcześniej takich osób jak ja w ogóle nie było widać. Były schowane. A teraz, po tym wszystkim, po tym programie, osoby z zespołem wychodzą i się pokazują. I to jest piękne.

Ludzie zaczynają rozumieć, że mamy prawo do marzeń, do uczuć, do pracy, do samodzielnego mieszkania, wolności życiowej. ♦

Nie będę *paprotką*

Zawsze, kiedy ktoś próbuje mnie przekonać, że poważniej brzmi „polityk” od „polityczki”, podkreślam, że feminitywów używano już przed wojną



Z GABRIELĄ MORAWSKĄ-STANECKĄ,
WICEMARSZAŁKINIĄ SENATU,
ROZMAWIA ANNA J. DUDEK

Senator, marszałek, polityk - można przeczytać, kiedy wpisujemy pani nazwisko w wyszukiwarce. Drażni to panią?

Sama używam wyłącznie feminatywów, zresztą moje otoczenie, podobnie jak dziennikarze, już się do tego przyzwyczyło. Nie zmuszam, nie namawiam, bo doświadczenie mnie nauczyło, że takie forsowanie powoduje większy opór i negatywną reakcję. Podkreślam zawsze, kiedy ktoś próbuje mnie przekonać, że poważniej brzmi „polityk” czy „prawnik” od „polityczki” czy „mecenaski”, iż feminatywów używano już przed wojną. Niechęć do feminatywów wpisuje się w ten nasz paternalistyczny krajobraz. Wśród kobiet również nie ma wielu entuzjastek feminatywów.

Patriarchat trzyma się mocno, a jego strażniczek nie brakuje.

Bywa, że kobietom wydaje się, że jeśli będą kobiece, to stracą powagę. Uważam, że to seksizm, bo jeśli ktoś ma kompetencje, to ich nagle nie traci. Długo uważałyśmy, że w męskim świecie trzeba grać według męskich zasad, a ja uważam, że zasady trzeba zmienić.

Dlatego zdecydowała się pani nagłośnić to, co usłyszała dwa lata temu od Włodzimierza Czarzastego, który mówił, że jeśli „nie przestanie pani lazić po mediach, to panią odstrzelą”?

Absolutnie tak. I jako prawniczka, i jako polityczka walczę o równe traktowanie i szacunek, a na taki rodzaj brutalności, ale też lekceważenia nie ma we mnie zgody. Jestem kobietą siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę, 365 dni w tygodniu. Oczekuję szacunku, a polska polityka, polscy politycy bywają wciąż wobec nas protekcjonalni i lubią objaśniać nam świat. Cóż, wiele rzeczy to my mogłybyśmy objaśnić im.

Wówczas dużo pani zaryzykowała, a ceną było rozstanie z Lewicą.

Jestem konsekwentna, a to była słuszna decyzja. Myślę, że nie musimy wchodzić w buty facetów, żeby być w polityce i ją zmieniać na bardziej otwartą, empatyczną, skierowaną na te grupy, które są najbardziej narażone na wykluczenie i przemoc właśnie. Możemy robić politykę po swojemu, a że jest ona skuteczna, pokazały Jacinda Ardern, Angela Merkel czy Sanna Marin podczas pandemii. Pora na nowy rodzaj przywództwa.

Jaki?

Empatyczny, ludzki, czuły, skierowany na potrzeby innych ludzi. Ale też wielozadaniowy,

bo jako matki, organizatorki życia rodzinnego - przecież to nasza ogromnie ważna rola - jesteśmy świetne w multitaskingu. Zaryzykuję nawet tezę, że lepsze od mężczyzn. Przykładowo w ubiegłym roku robiliśmy akcję charytatywną, przygotowując paczki dla potrzebujących przed świętami. Trzeba było złożyć kilkaset pudełek. Dyrektorka jego biura, ja i dwóch kolegów składaliśmy je przy dwóch stołach. W trakcie toczyły się rozmowy. I co się okazało? My złożyliśmy 500 pudełek, panowie może ze 200. Zajęci rozmową po prostu przestawali składać, nie umiając skupić się na dwóch czynnościach naraz. Kiedy pracowałam jeszcze w notariacie, potrafiłam dwóm lub trzem pracownikom dyktować jednocześnie dwie, trzy różne umowy.

Co jeszcze?

Zdolność do powiedzenia „nie wiem”, co pokazały w pandemii właśnie te przywódczyni, o których mówiłam. Nie udawały, że znają wszystkie odpowiedzi, polegały na ekspertach, podczas gdy liderzy - Trump, Johnson - udawali, że pozjadali wszystkie rozumy.

Kobietom często towarzyszy syndrom oszustki. Nawet jeśli jesteśmy ekspertkami, obawiamy się, że czegoś nie wiemy, że ktoś za chwilę obnaży nasz brak kompetencji, które przecież mamy. Zdarza się to pani?

Wiele z nas się z tym boryka, w pewnym momencie swojego życia ja również. Jednak nasze kompetencje tak często są podawane

Uważałyśmy, że w męskim świecie
trzeba grać według męskich zasad,

*a ja uważam, że zasady trzeba
zmienić*

w wątpliwość, że nie możemy sobie tego robić same. Dlaczego tak często pełnimy funkcje zastępczyni? Ano właśnie dlatego - stereotypy są wciąż żywe. Kiedy mężczyzna idzie do przodu, mówi się o nim, że jest przebojowy, zaś o kobiecie - że jest agresywna. On jest stanowczy, ona jest arogancka albo kłótniwa. Ona się spóźnia, ale jego zatrzymują ważne sprawy. Patriarchat tkwi w nas bardzo głęboko. Ja też w swojej drodze zawodowej i politycznej miałam momenty walki.

Ze środowiskiem?

I sama ze sobą, walcząc właśnie z syndromem oszustki. Ale środowisko nie ułatwiało. Byłam bardzo młoda, kiedy zostałam radczynią prawną, więc z uwagi na mój wiek,

pleć i wygląd często próbowano nie traktować mnie poważnie. Walczyłam, żeby traktowano mnie profesjonalnie.

Traktowano panią jak paprotkę?

O nie, nigdy nie pozwoliłam się w ten sposób traktować. Ale musiałam sobie wyhodować kolce.

W polityce się przydają?

Jak pokazała sprawa z Czarzastym, owszem. Zaryzykowałam wówczas wszystko. Ale to szersze zjawisko. Przykładowo premier Morawiecki przy każdej okazji, podczas oficjalnych spotkań omija mnie wzrokiem. Udaje, że nie widzi. Jestem dla niego niewidzialna, podobnie jak dla tej władzy kobiety są w ogóle niewidzialne.

Teraz nagle, w kampanii, stały się widzialne. Wszyscy, zarówno PO, jak i Lewica, co oczywiste, ale i PiS, odwołują się do kobiecego elektoratu. PiS twierdzi, że jest partią prokobięcą.

Lewica zawsze dbała o prawa kobiet, o silną kobiecą reprezentację w polityce, natomiast PiS owszem, mówi, że jest prokobięcy, ale jak to wygląda w praktyce, widzimy od ośmiu lat. Nie mówię tu tylko o wyroku Trybunału sprzed trzech lat, ale także o najgorszej na kontynencie dostępności antykoncepcji, niewystarczającej opiece zdrowotnej, utrudnionym dostępie do lekarzy, oporem przed zmianą definicji gwałtu czy zamiataniem pod dywan przemocy wobec kobiet. PiS uprawia demagogię, a na kobiety patrzy

tak, jak premier Morawiecki na mnie: jak na elementy na szachownicy, które trzeba tak ustawić, żeby wygrać partię.

Co będzie priorytetem po wyborach?

Dla mnie szczególnie istotna jest zmiana definicji gwałtu, zresztą musimy

wdrażać przepisy konwencji stambulskiej. Ta przesłanka o oporze jest anachroniczna, definicja musi być oparta na zgodzie. Natychmiast potrzebna jest też ustawa o związkach partnerskich, projekt jest przecież gotowy, i naturalnie trzeba rozwiązać kwestię barbarzyńskiej ustawy antyaborcyjnej.

Ale to nie będzie takie proste, droga legislacyjna jest długa.

Dlatego najpierw trzeba usunąć z kodeksu karnego przepis o penalizacji aborcji. Pierwszym krokiem jest doprowadzenie do dekryminalizacji aborcji, bo jej penalizacja jest właśnie tym, co paraliżuje lekarzy i naraża kobiety na niebezpieczeństwo. Trzeba się zastanowić, co zrobić z klauzulą sumie-



Gabriela Morawska-Stanecka: Mówię kobietom: „Jeśli zostaniecie w domach, nie pójdziecie na wybory, ukradną nam to państwo”

nia, która sprawia, że kobiety nie otrzymują odpowiedniej opieki lekarskiej.

Ale zlikwidowanie klauzuli sumienia jest niewykonalne.

Nie trzeba i nie można jej zlikwidować, ona funkcjonuje przecież nie tylko w Polsce, ale też w wielu innych krajach, można natomiast nałożyć na zakłady opieki zdrowotnej obowiązek informowania o tym, gdzie dane świadczenie, którego odmawia lekarz powołujący się na klauzulę sumienia, można zrealizować. To jedno z możliwych rozwiązań, podobnie jak obowiązek zatrudnienia w placówce lekarza, który się klauzulą sumienia nie posługuje. W niektórych krajach lekarz powołujący się na klauzulę sumienia nie może pracować w placówkach publicznych, ale sądzę, że u nas to jest nie do zrealizowania z uwagi na fakt, że po prostu brakuje lekarzy.

Alimenty?

Powinny być ściągane jak podatki, to proste i skuteczne rozwiązanie, a przypominam, że w Polsce milion dzieci nie dostaje należnych im alimentów.

In vitro?

Oczywiście, państwo nie może przerzucać finansowania procedur na samorządy, dlatego w Senacie podjęliśmy prace nad ustawą o finansowym wsparciu in vitro z bud-

GABRIELA MORAWSKA-STANECKA

(ur. 1968) – wicemarszałkini Senatu, prawniczka, działaczka polityczna. Od 2019 r. do 2021 wiceprezeska Wiosny. W czerwcu 2021, po rozwiązaniu Wiosny, została przedstawicielką Nowej Lewicy. W grudniu 2021 wystąpiła z tej partii i odeszła z klubu Lewicy, współtworząc (jako bezpartyjna) Koło Parlamentarne Polskiej Partii Socjalistycznej (w lutym 2023 r. przekształcone w Koło Parlamentarne Lewicy Demokratycznej). W roku 2022 współtworzyła Stowarzyszenie Lewicy Demokratycznej

żetu państwa. Nie mogliśmy zlekceważyć pół miliona podpisów złożonych pod projektem obywatelskim. Na niepłodność choruje u nas co szósta para. To szokujące! Nie możemy rodziców niemogących mieć potomstwa pozostawić bez pomocy. Mówię to w imieniu odpowiedzialnych polityków, bo oczywiście nie mam żadnych wątpliwości, że ta ustawa nie opuści sejmowej „zamrażarki” przed końcem kadencji.

Co jeszcze?

Dla mnie jako prawniczki, która zajmowała się prawem medycznym, bardzo istotna jest zmiana przepisów o uzgodnieniu płci. Kuriozum jest to, że osoba chcąca dokonać tranzykcji musi pozywać swoich rodziców, choć nie chodzi tylko o to. Należałoby też rozważyć zmianę przepisów na takie, któ-

re nie zobowiązują lekarza do wpisania płci od razu po urodzeniu, bo czasem prowadzi to do ogromnych tragedii. Prezes Kaczyński i prawica robią sobie heheszki, trywializują cierpienie dzieci i rodzin, w dodatku powołują się przy tym na Boga. Jeśli myślelibyśmy takimi kategoriami, to musimy przyznać, że w tych przypadkach chyba się coś Bogu pomyliło.

Skoro o tym mowa – świecka szkoła, świeckie państwo?

Oczywiście, jestem przeciwniczką wrzucania religii do życia publicznego. Sama jestem wierząca, ale nie manifestuję tego, ponieważ to moja prywatna sprawa. Na religię w polityce nie ma miejsca. Dla mnie wyjątkiem od tej zasady, kiedy mogę się pojawić w kościele podczas sprawowania swoich funkcji publicznych, jest pogrzeb, ponieważ chcę okazać szacunek osobie zmarłej i jej rodzinie. Innej możliwości nie ma, a tańce u Rydyzka budzą wyłącznie zażenowanie. Jeśli nie chcemy oglądać podrygujących mizoginów, musimy iść na wybory. Mówię do kobiet, bo z badań wynika, iż młode kobiety nie wiedzą, czy pójdą na wybory: „Jeśli zostaniecie w domach, ukradną nam to państwo”. ♦

Wywiad jest częścią cyklu „Kobiety do władzy”, w którym przedstawiamy sylwetki polityczek startujących w wyborach parlamentarnych 2023. Więcej na wysokieobcasy.pl



Jesteśmy w związku, ale nie *jesteśmy*

Przypomina związek, choć słowa „związek” lepiej nie wymawiać. Czasem otwarta, czasem zamknięta. Situationship to nowy model relacji pokolenia Z

TEKST ZUZANNA KUFFEL
RYSUNEK PAWEŁ JOŃCA

Kilkanaście lat temu mówiliśmy „to skomplikowane” (od nazwy statusu związku na Facebooku), teraz przyjęło się nowoczesnie brzmiące „situationship”, ale pierwotna polska nazwa najlepiej opisuje, na czym to polega. To ucieczka od zobowiązań – mówi Ania, warszawianka po trzydziestce. – W moim situationship z Tindera usłyszałam, że partner nie jest zainteresowany, zniechęca. To było już po tym, jak wylądowaliśmy w łóżku i wszystko zapowiadało się obiecująco. Załamałam się po poważnej rozmowie o tym, że on nie jest gotowy na zobowiązania. Tymczasem następnego dnia rano dostałam wiadomość, że to wcale nie musi oznaczać końca. On po prostu „potrzebuje wolniejszego tempa i nie chce używać słowa na M”. Kontynuowaliśmy więc randkowanie, rozmowy, seks, zwierzać się sobie i zachowywaliśmy się jak pełnoprawna para.

Ania miała z chłopakiem codzienny, stały kontakt. Zasypiała, rozmawiając z nim godzinami. Rano, kiedy się budziła, wiadomości od niego już na nią czekały. Spotkania były regularne, głównie na seks, u niej albo u niego, bo – jak tłumaczył – nie miał pieniędzy na wyjścia.

Umówili się, że to relacja na wyłączność. On powtarzał, że jest na niej skupiony. – Ciągle myślałam, że zmierzamy w kierunku związku i jesteśmy w jego początkowej fazie, a on chciał się zabawić, ale się nie wiązać. Po trzech miesiącach usłyszałam, że to wszystko dla niego za szybko. Nie chodzi o seks i rozmowy. Przeszkadzało mu, że powiedziałam do niego kilka razy „kochanie” – mówi Ania.

Mężczyzna był cały czas aktywny na Tinderze i zaraz po niej zaczął randkować z inną kobietą. Teraz ten człowiek, który pół roku temu „nie lubił zobowiązań”, jest w szczęśliwym związku z nową partnerką.

– Po czasie zorientowałam się dopiero, jak bardzo wszystko było w tej relacji na-

stawione na jego potrzeby. On oszczędzał, więc ja się dostosowywałam. On nie chciał nazywać tego związkiem, więc ja chodziłam wokół jego uczuć na palcach. On lubił ostrzejszy seks, więc ja znosiłam rzeczy, które nie sprawiały mi przyjemności – opowiada Ania.

BEZ ZASAD

Przypomina związek, choć słowa „związek” w tej relacji lepiej nie wymawiać. Przyszłości też się raczej nie planuje. Jest tu i teraz. Czasem otwarta, czasem zamknięta. Situationship to nowy model relacji pokolenia Z.

– Ciągle nadajemy pseudofachowe nazwy sytuacjom, które już wcześniej istniały. Ostatnio ktoś z moich obserwujących zapytał mnie o „orbiting”. Okazało się, że chodzi po prostu o to, że przestajemy z kimś pisać wiadomości, ale nadal obserwujemy go w mediach społecznościowych. Przecież zawsze to robiliśmy, tylko nie nadawaliśmy temu specjalnej nazwy. Podobnie jest z situationship – mówi Barbara Strójwąs, psycholożka specjalizująca się w związkach, ekspertka polskiej edycji programu „Celebs Go Dating. Gwiazdy idą na podryw”.

Według niej situationship to ładna nazwa na unikanie relacji. Wchodzą w nią dwie osoby, które nie potrafią, boją się lub nie chcą ze sobą rozmawiać na temat relacji, którą tworzą. Nie mówią, czego potrzebują i czego oczekują. Wiele osób dzisiaj jest bardzo ubogich w kompetencje potrzebne do budowania relacji. Situationship to dla nich bezpieczna forma, która nie obnaża tego braku kompetencji, tego, że nie umieją rozpoznawać swoich emocji, a co dopiero o nich mówić, i brać odpowiedzialności za czyjeś uczucia. Radzenie sobie z emocjami także stanowi dla nich problem, podobnie jak podejmowanie decyzji.

W situationship obowiązuje jedna zasada: brak zasad. To często relacja otwarta, na którą co najmniej jedna strona wewnętrznie nie wyraża zgody. – To relacja zbudowana z bra-

ków, stanowiąca karykaturę dobrej relacji romantycznej. Zdrowa relacja oparta jest na komunikacji, zaufaniu, wspólnych celach i pewnych ustalonych zasadach. W situationship albo tych elementów nie ma, albo pojawiają się od czasu do czasu – mówi Strójwąs. – Jesteśmy w związku, ale nie jesteśmy. Mamy zobowiązania, ale ich nie mamy. Mamy plany, ale brakuje nam konsekwencji w ich realizacji. Mamy emocje, ale potem się z nich wycofujemy. Jednego dnia para się widzi, a potem jedna ze stron nie ma czasu, nie odpisuje na wiadomości, znika na kilka dni, wyjeżdża na wakacje z kimś innym, w ostatniej chwili odwołuje wspólne plany.

MYŚLENIE ŻYCZENIOWE

Ludzie często wchodzą w relacje takie jak situationship nieświadomie, myśląc życzeniowo. W najbardziej romantycznej wersji może zdarzyć się tak, iż dwie osoby deklarują, że chcą relacji „bez zobowiązań”, a pod wpływem chwili zmieniają zdanie, tworzą szczęśliwy związek i będą żyć długo i szczęśliwie. W większości przypadków jest jednak tak, że ludzie nie są szczerzy sami ze sobą. Jedna osoba, wchodząc w układ, ma nadzieję, że on się zmieni. Druga jest zadowolona do czasu, aż się okazuje, że ta pierwsza jednak liczy na coś więcej.

Barbara Strójwąs: – Ludzie, owszem, nie są często świadomi swoich prawdziwych potrzeb, ale przynajmniej ustalają jakiegokolwiek ramy. Na coś się umawiają. W situationship nawet nie rozmawia się o oczekiwaniach. To jedno wielkie niedopowiedzenie, a każdy dzień stanowi próbę zorientowania się, w czym ja w zasadzie się znajduję. Ludzie bardzo często boją się zadać drugiej osobie pytanie, czy budują związek, czy jednak to tylko coś tymczasowego, w co weszliśmy, bo jeszcze nie poznaliśmy kogoś, z kim będziemy chcieli budować związek na poważnie.

Dlaczego więc pozostajemy w tych relacjach? Według Barbary Strójwąs wynika to m.in. z lęku przed odrzuceniem i samot-

nością oraz przed tym, że znowu będziemy musieli kogoś szukać. – Ten lęk powoduje, iż lepszą opcją wydaje się udawanie, że jest w porządku, i oczekiwanie, że może coś jednak się odmieni i ktoś nagle dozna olśnienia, wyzna miłość i będzie tak jak we wszystkich filmach romantycznych – mówi psycholożka.

MOBILNOŚĆ TO WYMÓWKA

– Poznaliśmy się na Tinderze. Mieszkał w innym mieście. Był studentem z wymiany. Przyszedł do mojego mieszkania na pierwszej randce. Tak już zostało – spotykaliśmy się tylko u mnie. Od razu ustaliliśmy, że oboje nie chcemy związku. Na początku mi się to podobało, no strings attached, spotkania na seks. Z czasem robiło się trudniej, bo zaczynałam czuć coś więcej. On też. Wiedzieliśmy, że to się skończy, bo on wyjedzie. Ale nie potrafiliśmy przestać się widywać. Byliśmy skazani na situationship. Niedawno wyjechał i to jest okropne uczucie – opowiada Julia, studentka.

Niektórzy mówią, że situationship jest wygodne właśnie dlatego, że pokolenie Z jest mobilne, przenosi się między miastami albo nawet za granicę. Młodzi spotykają się, cieszą swoim towarzystwem, ale nie wybiegają w przyszłość.

– Ludzie zawsze dążyli do tego, żeby tam, gdzie mogą, stworzyć dla siebie jak najbardziej wygodny układ. To nigdy się nie zmieni. Dla mnie mobilność to wymówka, a prawdziwym powodem wchodzenia w te relacje mogą być problemy z emocjami. Starsze pokolenia nie powinny racjonalizować tego, że młode osoby wchodzą w situationship, tym, że są mobilne – twierdzi Barbara Strójwąg. – Prawda jest taka, że wśród zetek jest wiele osób, które często nie miały okazji doświadczyć bliskiej relacji i obserwować, jak budować zdrowe związki. To się odbija na tym, jakie obecnie tworzą relacje. Znajdujemy ładną nazwę situationship i łączymy ją z mobilnością, a to jest kwestia niedostępności emocjonalnej oraz nieumiejętności wchodzenia w relacje. Mamy do czynienia z epidemią samotności, na którą nie cierpią wcale tylko osoby starsze. Nie próbujemy więc wmawiać młodym ludziom, że situationship jest nowoczesną formą związków, skrojoną na miarę ich potrzeb. Otaczający nas świat rozwija się bardzo dynamicznie, ale człowiek wciąż potrzebuje bliskości i bezpieczeństwa w relacji z drugim człowiekiem.

Niektórzy uważają, że situationship to pragmatyczne podejście do miłości. Barbara Strójwąg mówi, że jest przeciwnie. Pragmatycznie jest wtedy, kiedy wiemy, czego szukamy i na co się godzimy, kiedy znamy swoje granice i o nich mówimy. – Situationship

w ogóle nie jest praktyczne. Chcę się z tobą dziś bawić, to się bawię. Chcę iść do teatru, to ubierz się ładnie i chodź ze mną. Jak przyjadą moi rodzice, chodź z nami na obiad, ale potem spadaj, bo mam inne plany na wieczór. To taki rodzaj używania człowieka. Problem w tym, że wszystko zaczyna się jak związek, a na skutek braku komunikacji zamienia się właśnie w taką karykaturę. Czy gdyby od początku było wiadomo, że tak to będzie wyglądać, ktoś ochoczo by się na to godził? – mówi psycholożka.

WRÓCIMY DO SWATANIA

Twory takie jak situationship to częściowo pokłosie aplikacji randkowych, które napędzają przedmiotowe traktowanie ludzi. W tych najpopularniejszych główne kryterium stanowi wygląd. Jak wyjaśnia Barbara Strójwąg, badania prowadzone przez psychologów behawioralnych dowodzą, że gdy dajemy ludziom kryterium, oni się do niego dostosowują.

– Ludzie w relacjach zawieranych przez aplikacje randkowe zaczynają zachowywać się w sposób, w jaki normalnie by się nie zachowywali. Wykańcza ich zjawisko zwane paradoksem wyboru. Stale ma się wrażenie, że zawsze z kolejnym przesunięciem palcem można poznać kogoś jeszcze lepszego – tłumaczy ekspertka od związków.

Przez aplikacje nie mierzymy się z wyzwaniem podtrzymania relacji i często jej zakończenia. W aplikacji można usunąć parę i za jednym kliknięciem ktoś znika z naszego życia. W rzeczywistości trudno sobie wyobrazić, że siedzimy z kimś przy stole, a nagle wstajemy, wychodzimy i nigdy nie wracamy.

Gdzie w takim razie szukać miłości? Niektórzy znajdują ją na basenie albo siłowni. Czasami ludzi łączą wspólne pasje i aktywności grupowe współdzielone w niewielkich społecznościach. Z reguły jednak na takie wydarzenia, np. warsztaty, chodzą głównie kobiety. Barbara Strójwąg jest przekonana, że wrócimy do swatania ludzi w biurach matrymonialnych. Ona od kilku lat pracuje nad własnym i zamierza otworzyć je pod koniec roku.

– Dziś ludzie nie chcą korzystać z biur w starej formule, bo narracja „samotne serca, samotne dusze” nie pasuje do dzisiejszych czasów. To często świetnie radzące sobie w życiu osoby. Interesujące, wykształcone i z otwartymi głowami. Przychodzą i pytają: „Znasz kogoś, kto żyje podobnie jak ja? Kto ma podobne zainteresowania?”. W swojej pracy widzę, że bez pomocy z zewnątrz ludziom coraz trudniej jest znaleźć miłość – mówi psycholożka. ♦

Imiona bohaterów zostały zmienione na ich prośbę

LISTY



e-mail: listy@wysokieobcasy.pl

adres: ul. Czerska 8/10,

00-732 Warszawa,

telefon: 22 555 66 00

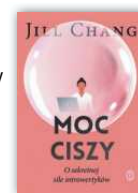
LIST TYGODNIA

Potrzeba rozbrojenia

Po całym dniu kłótni, płakania, decyzji o rozstaniu, rozpacz, wyrzucania chwastów, przetrucania się winami, poczułam zmęczenie połączone z ogromną ulgą. Nie wiem, czy znacie takie poczucie oddechu po rozpacz, bólu po wydrapanych wnętrznościach. Gdy woda jest jeszcze pełna mułu, jeszcze nie przeryzsta, ale już bez glonów ściągających cię na dno. Nie wiem, jak nazwać to uczucie, ale zdałam sobie sprawę, że kiedy je odczuwamy – potrzebujemy rozbrojenia. Znacze to uczucie, kiedy ktoś was rozbroi? Powie żart? Zrobi znajomą minę? Puści oczko? I cała złość, napięcie, spięcie i powaga świata pryska w ciepłym uśmiechu do siebie? A dzieci? Czy one nie są profesjonalnymi rozbrajaczami? W zmęczeniu, zmorze, gdy puszczają nerwy, a one pyk, rzucając jakimś rozbrajającym tekstem, uśmiechem albo dumą z całego obiadu rozsmarowanego na twarzy, pyk, i wraca uśmiech, fala miłości, rozczulenia? No a psy? Przecież on jest taki słodki, jak siedzi, a jak stoi, a jak idzie, jak biegnie we śnie i jak kradnie masło z blatu? Każdy ma swoje prywatne rozbrajaczki. Bułka z dżemem, ukochane oczy, Mozart. Używajmy ich, proszę, szukajmy, twórzmy, kombinujmy. Jak rozbroić babcię? Mamę? Szefa? Redaktorkę „Wysokich Obcasów”? Ćwiczmy to. Rozbrajać trzeba po trochu, codziennie, kamyk po kamyku, przy herbacie. Mówimy o tym, że potrzebna nam jest armia psychologów w szkołach – i oczywiście tak jest, ale dobrze, gdybyśmy jako społeczeństwo, rodzina, grupa znajomych tworzyli poduszkę. Umieeli się nawzajem rozbroić, uśmiechnąć do siebie. I puścić oczko. Szybko, nim będzie za późno! ♦ **Kama**

NAGRODY

Autorka listu otrzyma zestaw kosmetyków NEO MAKE UP z linii Intense Serum Line oraz książkę „Moc ciszy” Jill Chang, Wydawnictwo Literackie.



Udar zmienia wszystko

Ratownicy nie chcieli mnie zabrać do szpitala. Mówili, że pojedziemy na izbę wytrzeźwień. Miałam udar niedokrwienny. Przez tydzień byłam w śpiączce



Z WERONIKĄ GARSZTKĄ
ROZMAWIA ZUZANNA KUFFEL

b

Byłaś w czerwcu na See Bloggers. Po udarze takie wydarzenia to duże wyzwanie?

Zastanawiałam się, czy pasuję do tego środowiska, gdzie wszyscy są sprawni. Przerobiłam to w głowie, pojechałam i było super.

Niektórzy rozpoczynają działalność w sieci od opowiadania o swoich chorobach. U ciebie było inaczej. Przed udarem już należałaś do świata influencerów.

Wcześniej byłam w Thunderze menedżerką, więc tylko wspierałam twórców. Teraz wzięłam się do prowadzenia swojego Instagrama. Dużo czasu mi zajęło, żeby się do tego przekonać. To był proces, praca z psychologiem i psychiatrą. Po udarze nie chciałam się pokazywać, bo przez cztery miesiące nie miałam kości czaszki. Dopiero po jej wstawieniu, kiedy trochę odrosły mi włosy, byłam gotowa.

Jak wyglądało twoje życie przed udarem?

Bajka. To było moje wymarzone życie. Miałam ukochaną pracę i osobę. Byłam szczupłą, nie chorowałam, uprawiałam sport, chodziłam na squasha, grałam w siatkówkę. Ukończyłam AWF i kosmetologię. Kiedyś robienie dwóch rzeczy naraz było dla mnie czymś zupełnie normalnym. Udar wywrócił to wszystko do góry nogami. Rodzina zawsze jest przy mnie i mnie wspiera, ale mój związek się rozpadł. Pracowałam dla mojego chłopaka, więc kiedy postanowił zakończyć naszą relację, pracę też straciłam.

Pamiętasz swój udar?

Pamiętam bardzo dobrze i chyba nigdy nie zapomnę tego dnia. To było dzień po Świętach Wielkanocnych 2022. Poszłam do pracy. Wszystko było jak zwykle. Potem pojechałam na zakupy, zrobiłam kolację, ogarnęłam mieszkanie, wyszłam z psem. Mój ówczesny chłopak wrócił do domu, szykowialiśmy się do spania i nagle mówi do mnie: „Wera, co jest?”. Powiedziałam, że nic, bo czułam się dobrze. Remek zauważył, że opada mi kącik ust. Miałam wrażenie, że normalnie mu odpowiadam, ale bełkotałam. Zadzwoił po karetkę. Poczulałam mocny ucisk w głowie. Zanim skończył rozmawiać przez telefon z ratownikami, miałam już problemy z równowagą i niedowład lewej ręki. Nie byłam w stanie

sama iść, więc zniósł mnie na dół i czekaaliśmy na ratowników. Przyjechali i od razu założyli, że „blondyna jest po narkotykach”. Przeszukali moją torebkę. Kazali mojemu chłopakowi przeszukać kosze na śmieci, żeby sprawdzić, czy sobie czegoś nie wstrzyknęłam. Zaczęli detoks narkotykowy i powiedzieli, że jak zacznę wymiotować, to znaczy, że coś wzięłam. Wymiotowałam, ale nie od narkotyków, tylko przez silny ból głowy. Ratownicy nie chcieli mnie zabrać do szpitala. Mówili, że pojedziemy na izbę wytrzeźwień. Mój chłopak ich jakoś ublażał i jednak zawieźli mnie na SOR. Byli u mnie w domu 40 minut. Wiele osób, które spotykam na rehabilitacji, ma takie same historie.

Tam od razu rozpoznano udar?

Przyjechałam jako ciężki przypadek, więc nie czekałam w kolejce. Najpierw była powtórka z rozrywki, czyli testy na narkotyki. Kiedy okazało się, że są negatywne, lekarze zaczęli podejrzewać udar. Najpierw mnie ponizyli, potem mi pomogli. Pamiętam jeszcze, jak robili mi tomografię głowy i podpisywałam zgodę na operację. Później przyłożyli mi maskę do twarzy i tyle.

Lekarze ustalili przyczynę?

Miałam udar niedokrwienny. Lekarze na początku mówili, że przyczyną była antykoncepcja i COVID, który przechorowałam dwa miesiące wcześniej. Potem na własną rękę zaczęłam szukać jeszcze jakiejś przyczyny, bo bardzo się bałam kolejnego udaru. Znalazłam

Po udarze nie chciałam się pokazywać, bo przez cztery miesiące *nie miałam kości czaszki*

- PFO, czyli przetrwały otwór owalny w sercu. Ulatwił skrzeplinie dostanie się do mózgu. W maju miałam zabieg zamknięcia PFO.

Jak cię leczono po udarze?

Na początku miałam trombolizę, czyli farmakologiczne rozpuszczanie zakrzepu, i trombektomię - mechaniczne wyciąganie skrzepiny. Nie były skuteczne. Wtedy już miałam obrzęk mózgu i trzeba było zrobić kraniektomię. Otworzono mi czaszkę, a wyciętą kość zaszyto w brzuchu. Dzięki temu można ją było kilka miesięcy później wstawić z powrotem zamiast kości drukowanej w 3D.

Jakie były rokowania?

Okropne. Moim rodzicom lekarze powiedzieli, by przygotowali się na to, że ich córka nigdy nie będzie chodzić. Przewidywano też, że nie będę mówić i stracę pamięć, bo udar

był tak rozległy. Po operacji przez tydzień byłam w śpiączce farmakologicznej. Na początku sama nie oddychałam. Lekarze bali się mnie wybudzić, bo nie wiedzieli, w jakim stopniu mój mózg jest uszkodzony.

Jak się czułaś po wybudzeniu?

Lekarz zapytał, kogo chcę widzieć. Powiedziałam, że rodziców. Od razu zapytałam, gdzie jest mój pies, bo pamiętałam, że został w domu. Nie miałam żadnych ubytków w pamięci. Mama wytłumaczyła mi, co się stało. Powoli zaczęłam dopuszczać do siebie, że miałam udar. Jeszcze miesiąc leżałam w szpitalu na intensywnej terapii.

Kiedy zaczęłaś wstawać z łóżka?

To był bardzo długi proces. Na początku uczyłam się siedzieć. Jak tylko rehabilitant mnie sadzał, miałam zawroty głowy i mdlałam po kilku sekundach. Dopiero po dwóch tygodniach pierwszy raz wstałam. Dwie osoby musiały mnie trzymać. Jednego dnia rehabilitant przyszedł i powiedział, że to będzie dobry dzień. Zabrał mnie na spacer na wózek. Bardzo nie chciałam na nim jeździć, ale nie miałam wyboru. Nie mogłam też sama chodzić do toalety - miałam pampers i cewnik.

To było trudne?

Najpierw płakałam na sali, że nie chcę załatwiać się w ten pampers, i błagałam, żeby zabrano mnie do toalety. Nie było takiej opcji, więc nie miałam wyboru. Pielęgniarki były w moim wieku albo młodsze, więc one mnie rozumiały. Przed nimi w ogóle się nie krępowałam.

Dostałaś wsparcie psychologiczne?

Szpital mi to proponował, ale wtedy nie byłam w stanie wydobyć z siebie słowa. Ciągle płakałam.

Musiałam dać sobie trochę czasu, żeby dojechać do wizyty u psychologa. Nikt zdrowy nie rozumie osoby po udarze. Idąc do terapeutki, nawet na to nie liczyłam. Spotykam się z nią raczej po to, żeby wylać z siebie wszystko, co mnie boli, czego nie rozumiem, co muszę przepracować sama ze sobą. Ta choroba jest okropna. To straszny ból psychiczny. Zrozumie to tylko osoba, która też przeszła udar. Najpierw myślałam, że skoro mam szansę wstać z wózka, będę cały czas ćwiczyła. Teraz wiem, że tak się nie da. Ćwiczysz trzy czy cztery godziny dziennie, aż w końcu mówisz „dość”. Ja fizycznie mogłabym ćwiczyć cały dzień, ale psychicznie nie mam na to siły. Te ćwiczenia mnie frustrują.

Rehabilitujesz się prywatnie?

Tak. Na NFZ był termin za dwa lata, a wtedy to ja już chcę biegać. W szpitalu spędzi-

łam miesiąc, a potem od razu pojechałam na trzy miesiące do ośrodka w Krakowie. Nie byłam w wystarczająco dobrym stanie, żeby przyjęto mnie na oddział rehabilitacji neurologicznej. Kraków przyjmuje osoby w złym stanie, ale na NFZ rehabilituje tylko osoby w śpiączce. Ja musiałam płacić 30 tys. zł miesięcznie. Kolejne koszty to ortozy i leki.

Długo jeździłaś na wózku?

Cztery miesiące. Jak wróciłam do domu, rodzice musieli wynająć dla mnie wózek. Mogłam już wtedy korzystać z toalety. Rodzice wozili mnie do łazienki na wózku, sadzali na toalecie i przypinali pasami, żebym nie upadła. Nawet z toalety pod prysznic nie mogłam przejść sama. Z czasem przyzwyczałam się do wózka. Nie chcesz, ale jedziesz na nim, bo nie masz innego wyjścia. To nie było łatwe. Nie czułam lewej ręki, więc zdarzało się, że się zsunęła i zaplątała w szprychy. Wielką frajdą na spacerach z rodzicami, siostrą albo chłopakiem było dla mnie to, że oni pchali wózek, a ja mogłam trzymać swojego psa na smyczy.

Pamiętasz, kiedy pierwszy raz po udarze ruszyłaś lewą ręką?

Tak, nagrałam to! Była ze mną wtedy babcia. Dzień wcześniej złapała mnie za tę rękę i powiedziała: „Błagam, weź się rusz”. Następnego dnia zaczęłam ciągnąć ją po poduszce. Dopiero po jakimś czasie ją podniosłam. Dalej ćwiczę, jeszcze długa droga przede mną, bo odzyskać sprawność w ręce jest bardzo trudno.

Z nogą poszło łatwiej?

Pierwszy raz ruszyłam nogą już w szpitalu. Teraz mam w niej bardzo dobre czucie. Nadal nie chodzę tak, jak bym chciała. Poruszam się wolno, ale samodzielnie, a to jest dla mnie najważniejsze. Przez rehabilitację mam takie zбочenie, że ciągle patrzę na to, jak ludzie chodzą, jak stawiają nogi - na ulicy, w telewizji, wszędzie.

Są w ciągu dnia chwile, w których nie myślisz o chorobie?

Ona zupełnie zdominowała moje życie. Przy każdej czynności widzę swoje braki. Kroję w kuchni warzywa, chcę je przytrzymać lewą ręką, a ona się obraca. Myję włosy i ubieram się jedną ręką. Pracuję nad tym i myślę, że za rok będzie lepiej.

Spodziewałaś się, że rehabilitacja pójdzie szybciej?

Zdecydowanie. Nie wiedziałam, że powrót do sprawności to tak długi proces. Czasami widzę osoby nawet 10 lat po udarze, które są w gorszym stanie niż ja po roku. To z jednej strony mnie przeraża, a z drugiej - daje



WERONIKA GARSZTKA

-28-letnia wrocławianka, na Instagramie znana jako Garszcioszka. Kocha podróże, psy i sport. Ukończyła kosmetologię w Wyższej Szkole Fizjoterapii we Wrocławiu oraz AWF. W kwietniu 2022 r. przeszła udar niedokrwienny

mi nadzieję, że jak będę tak dalej pracować, to niedługo wrócę do zdrowia.

Powiedziałaś, że nikt, kto tego nie przeżył, nie zrozumie osoby po udarze. Spotkałaś się z brakiem empatii w otoczeniu?

Na początku spotkałam się z dużym hejtem. Długo nie miałam telefonu w ręce. Jak ludzie się dowiedzieli, że jestem po udarze, mój Instagram oszalał. Dostawałam wiadomości i komentarze, że robię to pod publikę i dla lajków albo że mogłam umrzeć i byłby spokój. Teraz już się z tym raczej nie spotykam. Ludzie mnie wspierają, często zadają różne pytania, a ja zawsze odpowiadam. Nie ma u mnie tematów tabu.

A jak zareagowali twoi przyjaciele?

Na większości z nich się nie zawiodłam. Odwiedzają mnie w domu, a czasami też na rehabilitacji. Zabierają mnie na wyjazdy. Nie przeszkadza im to, że idę wolno. Ostatnio zwidziałam ze znajomymi Amsterdam. Miałam wiele obaw, ale dotrymałam im kroku. Spotkałam się z komentarzem, że nie mogę jechać, bo nie dam rady. Ale to ja decyduję o tym, co mogę, a czego nie. Zawsze mam w sobie lęk, kiedy gdzieś wyjeżdżam albo wychodzę. Przyzwyczałam się już do tego, że ludzie na mnie patrzą i pytają, czy potrzebuję pomocy. Często myślałam, że mam kontuzję nogi, bo chodzę w ortezie. Coraz łatwiej jest mi korzystać z pomocy. Wcześniej się wstydziałam.

Dlaczego zdecydowałaś się dzielić swoją historią w mediach społecznościowych?

To teraz moja misja. Chcę, żeby młode dziewczyny były świadome, badały się regularnie i znały objawy udaru. Chcę też uczyć młodych ludzi szacunku dla osób z niepełnosprawnościami i rozmawiania o depresji. Nadal się na nią lecę i nie znam osoby po udarze, która jej nie przeszła. Nie wiem, jak silną trzeba mieć psychikę, żeby bez depresji znieść to, jak wiele zabiera ta choroba. ♦

Będiesz moją *Ewą*

Niektórzy mieli Linie za złe, że w akcji rzuciła dziecko w krzaki. Jaka matka tak robi? Szukała jej potem latami

TEKST AGNIESZKA DAUKSZA

Lina nie wierzy w Boga, ale w truskawki owszem. Dlatego trzyma je w lodówce. Oprócz tego mrozi, przetwarza, konserwuje, zdobywa ich tyle, by wystarczyło na cały rok. We Lwowie zrywa je w przydomowym ogrodzie, w Samborze kupuje na targu, podobnie jak po wojnie w Przemyślu. Rok 1968 stoi pod znakiem truskawek. Lina je ponad normę i przyzwoitość, nie po obywatelsku, niesolidarnie, a po tym festiwalu nic innego nie zostaje, tylko wyjechać. Później, pod koniec 1969 roku, gdy tymczasowo zatrzymuje się na wyspie Marstrand w Szwecji, musi zadowolić się mrożonkami. Byle do lata.

Jeśli chodzi o truskawki, była egoistką - wspomina jej córka Halina. Przyczyn tej akurat manii Lina nigdy swoim dzieciom nie wyjaśniła. Pod koniec życia w demencji zapomniiała, że jest Żydówką, ale nadal wierzyła w truskawki. Bo ile razy pomógł jej Bóg? No właśnie. A święte truskawki - jak je nazywała - Linę uratowały. Pierwszy raz latem 1943 roku, gdy przyszli do domu, w którym się ukrywała. Otwierała bramę jako polska służąca pochodzenia chłopskiego, Józefa Komarowska zwana Ziutą. Zatrudniona oficjalnie w willi przy ul. Ciuchcińskiego we Lwowie, u państwa Szmielów, Ukraińców. Uzbrojeni mężczyźni przyszli jako gestapowcy z nakazem rewizji. Powód? Donos, że w domu ukrywani są Żydzi i że ona, służąca, też jest Żydówką. Szmielów akurat nie było. Kto tu mieszka, dopytywali gestapowcy, widząc w salonie siedem łóżek, tyleż kompletów męskich piżam i szczoteczek do zębów. Kłamała w żywe oczy i jadła truskawki.

Ktoś jej poradził, by w sytuacji zagrożenia zaczęła jeść. Nie tylko po to, by oszukać przeciwnika - ten, kto się boi, raczej nie myśli o jedzeniu - ale by zmylić własne ciało, rozproszyć strach. Więc ona, Lina Fischman, jadła tak długo, aż się wycofali, zmieszani, jakby przestraszeni. Oni, polscy chłopcy z AK, którzy przyszli z nakazem, by rozstrzelać jej pracodawcę za kolaborowanie z Niemcami.

Polscy donosiciele nie kłamali, w domu było siedmiu żydowskich mężczyzn, zamkniętych przez Linę w wąskiej skrytce pod schodami. Mówiła o nich „moi Żydzi”. Opiekowała się nimi od grudnia 1942 roku aż do końca okupacji, praktycznie przez całe doby, sypiała jedynie trzy godziny. „Jej Żydzi” wierzyli lub chcieli wierzyć, że Lina rzeczywiście jest polską służącą, wykorzystywali jej pracę do maksimum. Wychodziła po zakupy - w różne punkty miasta, by ukryć, jak wiele jedzenia kupuje - gotowała, przynosiła wodę, prała, wynosiła nieczystości, sprzątała, gasiła liczne spory między swoimi podopiecznymi, a dla tego, który umarł na atak serca, wykopała grób w ogrodzie.



Lina z Markiem, Przemyśl, 1949 r.

Oddała się roli służącej tak bardzo, że momentami zapominała, kim była niedawno: Żydówką z Sambora, Fischmanówną, właścicielką sklepu, córką, siostrą, żoną, matką. Z tamtych stron zostało jej nazwisko Komarowska po sąsiadce i nowe dokumenty - najlepsze, najpewniejsze, jak sama mówiła. Bo polska sąsiadka była rejestrowaną prostytutką. Lina, po wojnie zwana przez bliskich Lunią, żyła z tą najlepszą metryką Ziuty przez kilkadziesiąt lat, aż do śmierci.

AK-owcy przebrani za gestapowców również nie kłamali: Jurcio Szmiel, który zatrudnił Ziutę jako polską niańkę i służącą, był Ukraińcem, który za opłatą ukrywał we własnym domu Żydów, ale też - jako właściciel restauracji - był przyjacielem i wspólnikiem Niemców. Jednocześnie wraz z żoną i szwagierką denuncjowali Żydów i wydawali ich na rozstrzelanie. Nigdy jednak nie zdradził ani Liny, ani „jej Żydów”, był wobec nich lojalny, ratował z opresji przed Niemcami. Ona wstawiła się za nim w powojennym procesie, ratując przed najsurowszym wyrokiem.

Biografia Liny Fischman to maszynka do kwestionowania pewników historycznych. Opowieść o okupacji niemieckiej w Polsce? O relacjach żydowskich, ukraińskich, polskich i niemieckich? Prawie każdy działał na kilku frontach, nikomu się nie udało, zdarzało się, że śmierć przychodziła z rąk najbliższych, a pomocną dłoń wyciągali najwięksi dranie. Jedno w tej historii jest pewne i przewidywalne: strach, który ćwiczył w kolejnych formach przetrwania.

Na starość Lina deklarowała, że w jej życiu wszystko było kłamstwem. Kilka tożsamości, zmienne daty urodzenia, zacieranie śladów, mnożenie pozornie sprzecznych scenariuszy. Ale w tym, co jej bliscy interpretowali jako pomieszanie, przejaw traumy czy oznaki demencji, była żelazna determinacja i konsekwencja. Kłamała, żeby przeżyć. Kłamała, odkąd zaczęła logicznie myśleć. I sama ze sobą była w tym szczerą.

JAK TRZY ŻYDÓWKI

Zaczął się od tego, że nie chciała być głodna. Jej ojciec Mojżesz Fischman, kupiec drzewny z Sambora, umarł, gdy była mała. Jej matka Chaja została z siedmiorgiem dzieci, bez pracy i bez kompetencji, które umożliwiłyby zatrudnienie. Wyprzedawała mienie, ale dzieci i tak nie dojadły. Gdy zostali z niczym, sześciolatnia Lina zaczęła się oferować innym matkom do bawienia dzieci i pomocy w karmieniu niejadków - dzięki temu mogła podbierać ich jedzenie. Do szkoły chodziła bez butów, ale bardzo chciała się uczyć. Dorabiała udzielaniem korepetycji młodszym uczniom. Zaczęła się żywić ich podwieczorkami. Matka straszyla ją, że pójdzie za to do piekła, by leżeć na wiecznie rozżarzonym łóżku. Lina uznała więc, że musi jeść więcej i na zapas, by jakoś te katusze przetrzymać. Przestała mówić matce prawdę.

Jednak stale się bała, że komuś uchybi, ktoś ją przyłapie lub najgorsze - wyrzuci ze szkoły, która była dla niej jedyną szansą. W domu mówiło się w jidysz, w pierwszej

klasie nauczyła się polskiego. Później dostała się do szkoły handlowej o wysokim poziomie, płatnej. Nie wystarczało na czesne, ukrywała się na końcu sali lub udawała, że opuszcza budynek, by po chwili wrócić innym wejściem. I tak - determinacją i podstępem - zdobyła wykształcenie, zaczęła zarządzać sklepem papieżniczym i prowadziła punkt obsługi korespondencji sądowych.

Płynnie lawirowała w sieci polsko-ukraińsko-żydowskich relacji, ludzie jej ufali, lubili ją i podziwiali, a ona ich wspierała. Interesował się nią Haim Lehrer, którego matka zwykła mawiać, że „synowej poniżej 10 tysięcy dolarów nie weźmie”. A jednak wzięli ślub, choć ludzie mówili, że Haim w posagu dostał jedynie matkę Liny i jej kulejącą siostrę. Lina go nie kochała i płakała przed ślubem - tęskniła za swoim Leonem, koncypientem, z którym rozłączyła ich bieda. Na małżeństwo zgodziła się, bo Haim zapewniał posag i lepszą przyszłość jej siostrze. Lina dostała od męża futro, ale nie umiała go nosić - nie chciała stać się kimś innym. „Mówili, że zostałam kupiona. To prawda, dałam się kupić” - opowiadała. „Jednak byliśmy sobie warci i to nie była nasza wina”. Zamieszkali w 1938 roku w Rozłuczcu, a tak naprawdę on w Rozłuczcu, ona w Samborze - tam miała swój sklep. Cieszyła się samodzielnością, była operatywna, zdawało się, że nic nie może jej powstrzymać. I przyszła wojna.

Ale nawet ona nie przecięła sprawczości Liny. Znosiła kolejne prześladowania, obstrzenia i straty najbliższych. Podolała też śmierci męża - gdy wracał z Rozłuczca w towarzystwie polskiego księdza, ukraińscy parobkowie tak ich pobili, że zostały z nich strzępy. Córkę, którą urodziła się cztery miesiące później - w grudniu 1941 roku - nazwała Chawa, Ewa. Odtąd strach zyskał dziecięcą twarz.

Wkrótce - na początku sierpnia 1942 roku - była wielka akcja, Niemcy chodzili od drzwi do drzwi. Wybiegła na ulicę z dzieckiem na ręku. Nigdy więcej nie zobaczyła matki ani siostry Dory, które zostały w mieszkaniu. Prawdopodobnie wywieziono je do Bełżca wraz z czterema-sześciami tysiącami Żydów z tych okolic. Lina próbowała przeczekać u swojej przyjaciółki Natalii Bielińskiej i jej ojca, prawosławnego księdza, u których zostawiła na przechowanie wszystkie kosztowności, biżuterię i futro od męża. Ale ksiądz wyrzucił na ulicę matkę i dziecko, więc ukryły się w bunkrze. Wyszły na powierzchnię po trzech dniach, miasto było widmowe, nie do poznania.

17-18 października była kolejna akcja, zebrano Żydów w ponad tysięcznej grupie, blisko cmentarza. Czekali długo na transport. Zbiorowo tracili nadzieję. Lina też. Dlatego irytowała się, gdy kolejne osoby wmawiały jej, że właśnie ona przeżyje. Najpierw powie-



Lina w ciąży z Haliną i Henryk, 1950 r.

dział tak rabin: „Nic nie możesz wiedzieć, ale to będziesz właśnie ty”. Postanowiła więc, że spróbuje wyjść wraz z dzieckiem przez górne okienko - jedyny dostęp świeżego powietrza. Jakiś chłopak zaoferował, że przetrze ślady, ale gdy tylko wystawił głowę, zastrzelono go. Powiedziała wtedy rabinowi: „To jest ten Bóg? Wszyscy wyjdziemy, ale kominem”. I zaczęła marzyć o śmierci. Przyśnił się jej mąż, ucieszyła się, że pójdą razem, ale on odmówił: „Masz moją rękę, że przetrwasz”. Później bratowa Margula wcisnęła jej do kieszeni ostatnie 30 dolarów - już się nie przydadzą, ale Lina przeżyje.

Trzeciego dnia, konwojowani przez Niemców, Ukraińców i Łotyżów, ruszyli w stronę stacji kolejowej. I nagle siostra - Tauba - wyszeptowała: „Lina, weź mój płaszcz”. Wzięła. „Teraz rzuć dziecko” - rzuciła je w krzaki. Wcale się nie wahała, jak gdyby ćwiczyła to wielokrotnie. „Teraz już musisz żyć, idź”. Poszła. Nigdy więcej nie zobaczyła siostry. I właśnie wtedy przestała się bać. Wpadła w bramę kamienicy, której nie знаła, stamtąd w podwórko i do toalety, gdzie się skryła. Przybiegł ukraiński policjant, wyszarpał

drzwiczki: czy widziała uciekającą Żydówkę? Nie widziała. Gdy odszedł, Lina zbiegła do piwnicy - to był istny labirynt ciągnący się wzdłuż kilku budynków, przez wiele godzin nie umiała się wydostać. Ściemniało się, gdy wyszła. Nie znalazła swojej Ewy.

Krzaki, w których szukała córki, były częścią ogrodu Bielińskich. Jednak w domu nie było jej dziecka, ksiądz powiedział, że to nie jest ochronka dla żydowskich bękartów. Złapała więc srebrny lichtarz - własny, jeden z tych na przechowaniu - i cisnęła nim w popa, przy okazji rozbijając wielkie lustro. Przy najmniej na coś się przydał. Chciała zdążyć na transport, jednak na stacji już nie było Żydów. Ktoś powiedział, że kobieta w żalobie znalazła Ewę i z nią odjechała w kierunku Lwowa. Lina postanowiła więc, że przeniesie się tam jako Polka. I tak stała się Ziątą Komarowską.

„ZEMSTA NALEŻY DO MNIE”

Pod koniec października 1942 roku Lina zdobyła dokumenty - siostrze zmarłej prostytutki zapłaciła 300 dolarów za metrykę,

a resztę dokumentów „wyrobiła sobie” w urzędzie meldunkowym. Dosłownie, bo Ukrainiec, który tam pracował i który znalazł ją sprzed wojny, dał się odciągnąć na zaplecze. Gdy on mierzył ubrania po jej zmarłym mężu, ona podbiła pieczętką nową tożsamość. Żydowskie dokumenty spaliła.

Miała plan: zyskać dostęp do niemieckiego dziecka. Przez ogłoszenie gazetowe znalazła małego Fritza. Jak mówiła, był „perfekt”, poza tym chłopca – równolatka jej córki – miało być łatwiej zabić. Zresztą cała rodzina jej odpowiadała: matka Ślązaczka, ojciec Niemiec, esesman pracujący w janowskim obozie, w którym w koszmarnych warunkach wykorzystywano niewolniczą pracę Żydów. I tak została mleczną matką Fritza, zamieszkała z rodziną, miała jedzenie i czuła się bezpiecznie. Przez okno widziała uliczne łapanki na Żydów. Myślała, że w razie czego zabierze Fritza na pewną śmierć.

W wolnych chwilach ojciec rodziny opowiadał o pracy w obozie, raz pokazał zdjęcia żydowskich niemowląt ułożonych w wielkiej balii i zamrożonych żywcem jako „sople” na polecenie komendanta obozu. W Linie narastał zew zemsty, chciała zabić Fritza w dzień urodzin Ewy. Jednak jego matka prosiła: „Ziuta, ty go kochasz, opiekuj się nim, jak gdyby był twój”. Lina wkrótce od nich odeszła. Nie była w stanie zabić, ale tym bardziej nie mogła wychowywać niemieckiego dziecka.

Do końca okupacji bezskutecznie szukała Ewy w ochronkach, u zakonnic i w domu dziecka. Gdy Niemcy opuszczali Lwów, a ona po bombardowaniu opuszczała wreszcie dom Szmielów, obiecała sobie, że zwiąże się z pierwszym żydowskim mężczyzną, którego spotka, byle mieć dziecko. Trafiała na 22 lata starszego Hermana Stahla z Nadwórnej. Ich syn Marek urodził się we wrześniu 1945 roku. Przenieśli się do Przemyśla.

Już wydawało się, że razem zyskali nową stabilność, gdy w 1946 roku przyszedł pozew z Komitetu Żydów Polskich na Śląsku. Herman – od niedawna Henryk – został oskarżony przez braci Rothów o przychylenie się do śmierci ich brata Bernarda. Jako członek Judenratu miał się też znęcać nad ludnością żydowską Sambora. Aresztowano go na rok.

W domu bieda, Lina z dzieckiem i szwagierką. Niepewność o każdy kolejny dzień i niewiedza, kim tak naprawdę był jej mąż. Zgłosili się do niej oskarżyciele – jeśli Lina im zapłaci, wycofają zarzuty. Nie miała czym płacić. Zapowiedziała, że będzie wspierać Henryka do końca procesu sądowego, ale jeśli okaże się winny, zostawi go i wyjedzie z dzieckiem do Palestyny.

I właśnie wtedy odnalazła Ewę. Ewę Lehrer lub dziewczynkę, która mogłaby

nią być. I która odtąd stała się jej Ewą, kimkolwiek była.

Gdy świadkowie zeznawali w sprawie Henryka, Lina dokładała wszelkich starań, by zabrać do siebie kilkulatkę z domu dziecka. Udało się i to był koszmar: młodszy syn ciągle płakał, Ewa płakała, nie chciała u nich zostać. Szwagierka odradzała: „Po ci obce dziecko, nie poradzicie sobie”. Przychodzili i inni, stukali się w głowę: „Nie dość masz kłopotów? Jaką przyszłość jej zapewnisz?”. Niektórzy mieli Linie za złe, że w akcji rzuciła dziecko w krzaki. Jaka matka tak robi? Pierwszy raz w życiu dała się złamać, oddała Ewę.

Likwidowano wtedy przemyski dom dziecka. Spytano Ewę, czy ma ochotę na wycieczkę do nowo wyzwolonej, zrujnowanej Warszawy. Jechała z opiekunką w wagonie, pośrodku którego straszyla wielka wyrwa. Najbardziej bała się, że w niej przepadnie, zanim życie weszło na właściwy tor. Ulokowano ją w otwockim domu dziecka. Była odtąd wraz z innymi dziećmi systematycznie obserwowana przez chętnych do adopcji. Akty podglądania przejrzała Hanna Krall z grupy starszaków, też mieszkanka domu w Otwocku.

Wkrótce zgłosił się do Liny znajomy z Sambora – Artur Sandauer. Poprosił, by zrezygnowała ze starań i zgodziła się na adopcję z zatarciem śladów, dziecko ma szansę na życie, o którym Lina nawet nie może śnić. Podpisała dokumenty, a słowa Sandauera okazały się przepowiednią: odtąd jej syn nie odstępowały Ewy ani na krok.

To był ciąg mocnych przeżyć. Po zeznaniach świadków sąd uznał, że Henryk Stahl jest niewinny – działał w strukturach Judenratu, był policjantem, ale starał się pomagać innym i robił to bezinteresownie. Odzyskał wolność pod koniec 1947 roku.

Mimo to Lina czuła się bezradna jak nigdy wcześniej. Ewę adoptowali Stefan i Julian Tuwimowie. Odbicie dziecka Tuwimom – tym Tuwimom – było nie do pomyslenia, dała słowo, zresztą w porównaniu z nimi była całkiem nieznaczną, biedną i bez perspektyw na dobrą przyszłość. I właśnie przyszłość bez Ewy wydawała się Linie nie do zniesienia. Dlatego postanowiła kraść wrażenia, małe fragmenty rzeczywistości domniemanej córki, żyć jej życiem na odległość. Znowu zaczęła się bać, że ktoś ją przyłapie. W tajemnicy przed bliskimi jeździła z Przemyśla do Warszawy, by podglądać

dać Ewę na boisku szkolnym, na ulicy, gdzie się dało. Była na bieżąco.

W 1950 roku urodziła córkę Halinę. Wtedy odeszły, gdy wracała z targu z żywą kurą pod pachą. Akurat mijała przyjaciel rodziny, Izaaka Frenkla. Lina wetknęła kurę w jego ramiona i odjechała taksówką do szpitala.

Tuwim zmarł w 1953 roku. A niedługo później nazwę ulicy, przy której mieszkali Stahlowie w Przemyślu – Pierackiego – zmienił na Tuwima.

Lina dalej jeździła do Warszawy. Ewa chodziła do szkoły – dorastająca dziewczyna wśród koleżanek, wyrazisty punkcik na rozmywającym się tle. Gdy wyprowadziła się do Szwecji, Lina straciła do niej dostęp, dzielił je Bałtyk, żyła rozdwojonymi płotkami. Jednak co roku wraz z dziećmi obchodziła urodziny Ewy. Halina i Marek wierzyli, że mają wyjątkową i mądrą starszą siostrę, która ze wszystkim sobie radzi. Fantazjowali o niej, ale wiedzieli, że nie można jej przeszkadzać.

Mieszkali z gospożą, chłopską córką, która zaszła w ciążę z kimś przypadkowym, więc ojciec się jej wyrzekł. Lina przyjęła Zosię wraz z dzieckiem. Ludzie plotkowali, że to pewnie nieślubne dziecko Henryka, ale Lina wcale się nie przejmowała. Przeraził się jednak ojciec dziewczyny – bo jak to, w tym domu zażydzą mu wnuczkę. Czym prędzej ściągnął dziecko do siebie na wieś. I tak oto praktyczny polski antysemityzm zdominował pod koniec lat 50. ojcowski patriachat.

Znajomy poprosił, by zgodziła się na adopcję z zatarciem śladów

Fala niechęci wzbierała, Stahlowie nie wyjechali do Izraela, nie udał się wyjazd do Ameryki. Pakowali się, rozpakowywali i znowu pakowali. Pod koniec 1969 roku – już po śmierci męża Liny – zdecydowali się na Szwecję. To znaczy zostali przyjęci. Prawie nowe życie, no i bliżej Ewy. Lina dzwoniła niekiedy, by objawić się w jej świecie jako kilkunastosekundowa cisza w słuchawce. Spotkały się, dopiero gdy Ewa zaczęła szukać biologicznych rodziców. Mniej więcej 60 lat od ich rozstania w Przemyślu. Lina jadła truskawki. ♦

Książka o **LINIE FISCHMAN** autorstwa Agnieszki Daukszy ukaze się nakładem wydawnictwa Karakter



Uczennice Wyższych Kursów dla Kobiet w Krakowie, z lewej Antonina Roźniatowska, pierwsza od prawej Olga Boznańska, obok Tola Certowicz. Po prawej: „Pokora” Toli Certowicz, ok. 1882 r., poniżej „Opuszczenie” Camille Claudel, 1886 r.



WYSTAWA

Zapomniane rzeźbiarki

WMuzeum Narodowym w Warszawie można oglądać wystawę poświęconą polskim rzeźbiarkom z XIX w. Nadal mało wiemy o ich dorobku, fascynacjach, karierze i biografiach, mimo że są autorkami wyróżniających się popiersi, rzeźb mistycznych i narodowych, nagrobków. Brzmi konserwatywnie? To prawda. Nie znajdziemy tu feministycznych odwołań. Mamy zbiór prac, które wpisywały się w mainstream XIX-wiecznej sztuki. Do historii przyłożono metodologię z XXI w., związaną z nurtem nazwanym herstorią, który stawia sobie za cel rewizję przeszłości i wyciągnięcie z zapomnienia kobiet. Cóż z tego, że z dzisiejszej perspektywy ich prace wydają się zachowawcze. W XIX w. pojawienie się artystek było rewolucją. Rzeźbiarstwo, jak zauważa kuratorka wystawy dr Ewa Ziemińska, było wówczas dziedziną zarezerwowaną dla mężczyzn. „Rzeźbiarki swoją postawą, determinacją i chęcią samorealizacji udowodniły, że konsekwentne podążanie nawet wyboistą drogą pozwala osiągnąć cel, a przy okazji przecierać szlaki kolejnym pokoleniom”. I dodaje, że wystawa jest opowieścią „o zdejmowaniu gorsetu narzuconego przez obyczajowość i siłę kobiet, które postanowiły realizować swoje marzenia”. Dwa wieki temu w Warszawie, Krakowie czy Lwowie istniało kilka prywatnych szkół artystycznych, w których mogły kształcić się także kobiety. Nie miały one jednak wstępu na państwowe uczelnie artystyczne. Wiele młodych kobiet wybierało naukę w Paryżu.

Najczęstszymi tematami podejmowanymi przez polskie rzeźbiarki był portret i przedstawienia religijne. Wynikało to z dużego zapotrzebowania, a co za tym idzie, możliwości uzyskania dochodu. Na wystawie możemy zobaczyć zmysłowy, wykonany w czarnym kamieniu „Profil paryżanki” Izy Kwiatkowskiej, rzeźbę „Sleeping Cupid” Natalii Andriolli z Tarnowskich, która po studiach w Paryżu wróciła do kraju, żeby opiekować się czwórką dzieci swojej zmarłej siostry. Prowadziła w Częstochowie pracownię specjalizującą się w produkcji rzeźb o tematyce religijnej, założyła także szkołę tkacką dla dziewcząt. Jest również autorką popiersia Tadeusza Kościuszki,

Niezwykły jest „Akt siedzącego mężczyzny”, płaskorzeźba autorstwa Toli Certowicz, która również studiowała w Paryżu, a po powrocie do kraju założyła Szkołę Sztuk Pięknych dla Kobiet, którą sfinansowała z własnego posagu. Jest autorką wielu rzeźb religijnych. Inną artystką, tworzącą podobne prace, była Maria Gerson-Dąbrowska. Ma na swoim koncie wiele podobizn postaci historycznych, m.in. Juliusza Słowackiego i Adama Mickiewicza, a także fantazyjne popiersia o takich nazwach jak „Uśpiona”, „Pocahunk” czy „Mefisto”.

A to tylko niektóre z kilkudziesięciu polskich rzeźbiarek. Ich pracom towarzyszą zmysłowe i niepowtarzalne rzeźby francuskiej artystki Camille Claudel. ♦ (Arkadiusz Gruszczyński)



„BEZ GORSETU. Camille Claudel i polskie rzeźbiarki XIX wieku”, Muzeum Narodowe w Warszawie

MUZYKA

Miłosne pocztówki muzyczne



Po pięciu latach od premiery albumu „Phoenix”, Rita Ora wyda-

ła nową płytę – „You & I”. W tym czasie szczęśliwie się zakochała i wyszła za mąż za Taikę Waititiego, nowozelandzkiego reżysera, co znalazło odzwierciedlenie w tekstach, które trafiły na krążek. Ora skomponowała go tak, że przypomina listy miłosne – do męża, co dość oczywiste, ale też do siebie samej, do mamy i do Notting Hill, miejsca, w którym dorastała. Śpiewa o tym, że wreszcie zaakceptowała i pokochała osobę, którą widzi w lustrze, i zrozumiała, że to, kim jest, zawdzięcza temu, co przeszła. Daje też prztyczka w nos opinii publicznej, a zwłaszcza tabloidowym mediom, które przez lata traktowały ją jak dziewczynkę do bicia. Myli się jednak ten, kto sądzi, że w takim razie to pewnie płyta oskarżycielska i ponura. „You & I” to album na wskroś tańczący, pełen pozytywnej energii napędzanej nową, spełnioną miłością. Idealny na wakacyjne imprezy. ♦ (Joanna Wróżyńska)

Rita Ora, „YOU & I”

FILM

„Wham!”
– kolorowy sen

Dokument „Wham!” pokazuje narodziny fenomenu. Dwóch ambitnych 19-latków kilkoma singlami: „Wham! Rap”, „Young Guns” i przede wszystkim „Club Tropicana”, staje się ucieleśnieniem wszystkiego, czego kryzysowa Anglia odmawiała wówczas młodzieży. W kusych spor-



towych ubraniach we wszystkich kolorach tęczy, odsłaniających, co trzeba, Wham! głosili pochwałę eskapizmu zamiast nudy życia codziennego i pracy. I choć nie stronili od społecznego komentarza („Everything She Wants” opowiada o wyzysku w związku), to epokowa ballada „Careless Whisper” przypięczone towała losy George’a Michaela jako zabójczo przystojnego łamacza serc. Film jest kopalnią wiedzy na temat lat 80., oferuje świeże spojrzenie na zespół, który był kwintesencją tej dekady. Cichym bohaterem jest tu Andrew Ridgeley, lojalny przyjaciel na całe życie, idealny powiernik targanego sprzecznościami George’a, który odegrał dużo istotniejszą rolę w zespole, niż się uważa. ♦ (Agata Pyzik)

„WHAM!”, reż. Chris Smith, Netflix

KSIĄŻKA

Trąbka Marion



Wydawnictwo Literackie w serii „Inne konstelacje Olgi Tokarczuk”, w której ukażą się ulubione książki nob-

listki, wznawia powieść Brytyjki Leonory Carrington „Trąbka do słuchania”. To literatura cudownie ekscentryczna. Carrington – malarka, skandalistka, życiowa partnerka przez wiele lat Maxa Ernsta, która większość życia przeżyła w Meksyku – stworzyła postać Marion Leatherby, starej, niedosłyszącej kobiety, która dostaje od przyjaciółki trąbkę do słuchania, dzięki której dowiaduje się, że rodzina chce ją wysłać do domu starców. Miejsce to jest osobliwe, szybko wybucha tam bunt klienteli. To opowieść o kobietach pragnących wolności. To triumf wyobraźni. ♦ (Paulina Reiter)

Leonora Carrington „TRĄBKA DO SŁUCHANIA”, tłumaczenie Maryna Ochab, Wydawnictwo Literackie (seria „Inne konstelacje Olgi Tokarczuk”)

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Coś

*a więc opowiadamy ciągle te same historie
coś się kończy zaczyna coś płonie
coś nas ku sobie popycha
każe śpiewać kreślić znaki na skórze*

*coś, co na mnie patrzy z niejednego płótna
dłonie tej kobiety czemu taka czułość
kimkolwiek była umarła
a po niej malarz J. C. Dahl (1788-1857)
sto pięćdziesiąt jeden lat temu*

*albo to dziecko z Nieba nad Berlinem
nie znam płci
w czarno-białym beciku*

*maluję rzeszy
zdejmuję ubranie
obejmuję plecy mężczyzny
kolekcjonuję wizerunki aniołów
i linijki z wierszy o miłości lub śmierci
szukam ludzi którzy umieją rozmawiać z jeżami*

*nastąpił tu wielki wybuch
wszystko porzucane
nic tylko zbierać żywe owoce tej wojny
nic tylko zbierać martwe owoce tej wojny*

*a więc opowiadamy ciągle te same historie
coś się kończy zaczyna coś płonie
coś nas ku sobie popycha każe śpiewać*

coś zsyła nam błogosławieństwo łez

JULIA FIEDORCZUK jest jedną z najbardziej znanych poetek, nauczycielką akademicką, laureatką Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Powyższy wiersz pochodzi z tomu „Astrostrada z girlandami. Wiersze zebrane” (wyd. Warstwy)

MARTA FREJ RYSUJE





Film „Club Zero” będzie miał premierę podczas festiwalu mBank Nowe Horyzonty (20-30 lipca we Wrocławiu, do 6 sierpnia online).
Więcej na: nowehoryzonty.pl

Nie uda ci się wszystkich *zadowol*ić

Osoby zmagające się z zaburzeniami odżywiania mają wybór – mogą wyjść z kina. Nie chcę sprawiać nikomu niepotrzebnego bólu

Z JESSICĄ HAUSNER, REŻYSERKĄ FILMU „CLUB ZERO”, ROZMAWIA MARTA BAŁAGA

Pokazywany na festiwalu mBank Nowe Horyzonty film „Club Zero” w reżyserii Jessiki Hausner zdenerwował już wiele osób. „Może sprawić, że uczestnicy festiwalu w Cannes dwa razy zastanowią się nad zamówieniem drugiego croissanta” – straszyl po premierze artykuł w „Variety”. Mia Wasikowska, gwiazda „Club Zero”, nazwała film „niewygodnym i niepokojącym”, wspominało też o widzu, który podczas jednej ze scen wykrzyknął: „Kiedy to się wreszcie skończy?!”.
FOT. STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY (2)

Austriacka reżyserka, która wcześniej zrobiła „Lourdes” i „Kwiat szczęścia”, chyba się tym nie przejmuje. Albo inaczej – raczej jej to nie dziwi. Jej film musiał być niewygodny, mówi. Musiał uwierać. Opowiada o zaburzeniach odżywiania, o manipulacji, o trudnych relacjach między rodzicami a dziećmi. O tym, że zło wygląda czasem jak sympatyczna nauczycielka w koszulce Ralphi Laurena („Mam nadzieję, że wyraził na to zgodę” – śmieje się).

A przecież zaczyna się dość niewinnie. Pani Novak (Wasikowska) chce nauczyć uczniów, jak „świadomie się odżywiać”, przy

okazji promuje swoją specjalną herbatkę. Gdy zaczynają robić postępy, czas na kolejny krok – Pani Novak jest niebezpieczna, bo jest przekonana, że poznała prawdę i musi przekonać do niej teraz innych ludzi. Ci, którzy się jej sprzeciwiają, są zwykłymi ignorantami – opowiadała mi w Cannes Wasikowska. – Przecież właśnie na takim założeniu opierają się wszystkie religie i politycy.

Twój film to satyra, ale śmiech więźnie w gardle. Teorie pani Novak, choć ekstremalne, wydały mi się znajome.

Pani Novak zaczyna od czegoś, co naprawdę ma sens. Niektóre z jej pomysłów zaczerpnęłam zresztą z prawdziwej książki. Jej autorzy wyjaśniają, że zawsze należy powoli jeść, powoli przeżuwać i myśleć o jedzeniu podczas jego spożywania – o tym, skąd pochodzi, jak do nas trafiło. Według nich bardziej je wtedy doceniamy. Rozumiem niektóre z tych pomysłów i teoretycznie nie ma w nich nic złego, ale pani Novak posuwa się coraz dalej.

Lubię pokazywać absurdalne sytuacje. Wywoływać u widzów niezręczny śmiech, który pozwala nam dostrzec swoje własne

słabości. Słabości rozzmieszają, to prawda, ale też zawstydzają.

Za każdym razem, gdy tylko mam gotowy scenariusz, od razu angażuję swoją siostrę Tanję, która jest kostiumolożką, oraz operatora. Przez lata wypracowaliśmy już pewien styl, który opiera się na realizmie, ale potem wprowadzamy kilka szalonych elementów. Staraliśmy się opowiedzieć uniwersalną historię, która niekoniecznie dotyczy konkretnych ludzi.

Dlaczego chciałaś opowiedzieć właśnie o jedzeniu?

Jest ważne dla nas jako społeczeństwa, także jako towarzyski rytuał. Ciągłe umawiamy się ze znajomymi na kolacje i nie ma w tym nic dziwnego, ale wyobraź sobie, że ktoś nagle odmawia jedzenia. Inni poczują się urażeni, zawstydzeni.

Taka decyzja może mieć też podłoże polityczne, bo często słyszymy o strajkach głodowych. Dla dziewczyny (Ksenia Devriendt), która zjada w moim filmie własne wymioty, to radykalny krok. Twierdzi, że sprzeciwia się w ten sposób systemowi swoich rodziców.

Jedzenie odgrywało też zawsze ważną rolę w religii. Wspomina się o ograniczaniu je-



dzenia, o poście jako istotnej części naszego duchowego doświadczenia.

Pokazujesz, że rodzice też przekraczają pewne granice. Czasem nieświadomie, kiedy ktoś rzuca uwagę, że córka mogłaby trochę schudnąć, ale jedna z matek wręcz kibicuje swojemu chudnącemu w oczach dziecku. Ona też się głodzi, i to od lat, więc wreszcie się rozumieją.

Nie osądzam tej kobiety. Współczuję jej. Te postaci mogą wydawać się szalone, ale ja zawsze muszę je choć trochę lubić. Pokazuję, jacy ci ludzie potrafią być słabi i śmieszni.

W filmie dziewczyny wspominają o „odżywianiu światłem”. Mówią, że znalazły w sieci filmik, w którym ktoś udowadnia, że naprawdę można tak przetrwać. My też go znaleźliśmy i nawet nie zajęło nam to dużo czasu.

Jeden z naszych młodych aktorów powiedział mi, że jego pokolenie zderza się w internecie z prawdziwym szaleństwem. Ciągłe muszą wybierać między dobrem a złem, a wielu jego przyjaciół przestało już to rozróżniać i przyjmują wszystko jak leci. Myślę, że nasza rola jako rodziców polega też na tym, by pomóc w tym dzieciom, by upewnić się, że się nie pogubią w tym natłoku różnych „prawd”. Nikt jednak nie ma na to czasu, więc musimy zaufać ich opiekunom. Nikogo tu nie obwiniam, ale młode pokolenie musi stawić teraz czoło wyzwaniom, o których my nie mieliśmy najmniejszego pojęcia.

Mia Wasikowska wspominała, że dla niej pani Novak zawsze była zła. Właśnie tak chciała ją zagrać. A ty jej na to nie pozwoliłaś.

Pamiętam to. Próbowałam poprowadzić ją w nieco innym kierunku, bo pani Novak naprawdę uważa, że to, co robi, jest słuszne. Jest

święcie przekonana, że musi przekonać dzieci, by przestały jeść – to przecież najlepsza rzecz, jaka może je spotkać! To jej prawda, jej rzeczywistość.

Później to już efekt domina. Jeśli się wylamiesz, jeśli zaczniesz jeść, nie możesz być częścią naszej grupy. Jeden z chłopców tego próbuje, mówi: „No cóż, może ja chcę być inny”. Ale tak naprawdę bardzo chce mieć przyjaciół. Każde z tych dzieci ma inny powód, dla którego daje się nabrać na jej pomysły. Bulimia, samotność, lęk klimatyczny, bo jedna z dziewczyn naprawdę chce uratować świat. Pani Novak zawsze daje im to, czego właśnie szukają. Daje im poczucie, że mogą być częścią czegoś większego, że ich decyzje są ważne.

Jak wielu liderów kultów. Na początku filmu postanowiłaś umieścić ostrzeżenie dla widzów. Wspominasz, że pojawią się w nim drastyczne sceny. Dlaczego to zrobiłaś?

Chciałam się upewnić, że osoby zmagające się z zaburzeniami odżywiania nie poczują się urażone. Teraz mają wybór – mogą wyjść z kina. Nie chcę sprawiać nikomu niepotrzebnego bólu.

Chciałabym też podkreślić, że nikt nie musiał schudnąć na potrzeby filmu. Zdecydowaliśmy, że nie chcemy tego robić. Po prostu powiększyliśmy ubrania, zmieniliśmy makijaż. Biorąc pod uwagę, o czym tu opowiadam, nie mogłabym prosić o to swoich aktorów.

Kilka dni temu rozmawiałam z inną reżyserką, która w swoim filmie skupia się na dorastającej dziewczynce. Ktoś zapytał ją, dlaczego chciała opowiedzieć o „kobiecy doświadczeniu”. Czy filmy robione przez kobiety o kobietach wciąż spycha się do tej kategorii?

JESSICA HAUSNER

– austriacka reżyserka i scenarzystka filmowa. Zwróciła uwagę fabularnym debiutem „Lovely Rita” z 2001 r., który miał premierę w sekcji Un Certain Regard na festiwalu w Cannes

Jeszcze nie usłyszałam takiego pytania, ale na pewno mogę to sobie wyobrazić. Codziennie jestem przecież pytana o to, jakie to uczucie być jedną z siedmiu reżyserek w konkursie głównym w Cannes [o Złotą Palmę walczyły też Alice Rohrwacher, Catherine Corsini, Catherine Breillat, Ramata-Toulaye Sy, Kaouther Ben Hania i Justine Triet, która ostatecznie zwyciężyła]. Nie wiem. A jakie to uczucie być jednym z 14 reżyserów?

Zastanawiałam się niedawno, czy na początku swojej kariery miałam jakichś mentorów, i wiesz co? Niestety, nie. Czulałam się zagubiona. Wydawało mi się, że w historii kina nie ma dla mnie miejsca – większość reżyserek powie ci dokładnie to samo.

Brakowało ci tej kobiecej perspektywy?

Dopiero niedawno odkryłam wspaniały dokument Marka Cousinsa „Women Make Film”, w którym pokazuje zapomniane reżyserki, i się rozplakałam. Chciałam od razu zadzwonić do swojej byłej szkoły filmowej i wszystkich pozwać. Nikt nam o nich nie opowiedział! Powtarzali tylko te męskie nazwiska i naprawdę wierzyłam, że wyłącznie faccy robili przede mną filmy. Teraz sama wykładam, więc jeszcze im wszystkim pokażę.

Co mówisz swoim uczniom i uczennicom?

Zaufaj własnemu głosowi. To jedyna przydatna rzecz, której nauczyłam się w szkole filmowej. Nigdy nie uda ci się wszystkich zadowolić. ♦



1.

2.



Stół z widokiem *na jezioro*

Sielawki, okonie, sandacze. Podpowiadamy, gdzie zjeść lokalne ryby podczas wakacyjnych wojaży mazursko-warmińskich

TEKST MAŁGOSIA MINTA,
MAGDA KLIMCZAK
ZDJĘCIA MAGDA KLIMCZAK

Zbiórkę wyznaczono przed piątą rano. I choć niebo jest już bladoszare i zwiastuje nadchodzący dzień, piąta rano to zdecydowanie nie jest pora, o której chce się wstawać. Zwłaszcza gdy jest się w takim miejscu jak Mazury, gdzie przez skórę czuje się aurę wakacji i odpoczynku.

Wczesna pobudka nie bardzo nam odpowiada, ale stawiamy się w wyznaczonym miejscu na brzegu, przy łódce niewiele większej od takiej, którą pływa się dla relaksu po miejskich stawach. Na pokładzie uwija się już dwóch mężczyzn, dla nich taka pobudka to codzienność. Nieodłączny element zawodu.

Mościmy się na prostych ławkach (czy raczej - deskach spinających burty łódki), ruszamy na wodę, rozbudzając się coraz bardziej pogawędką (kawa została na lądzie). Gdy po dobrym kwadransie dopływamy do ledwo widocznej bojki wyznaczającej sieci, sternik wyłącza silnik, a nasz przewodnik sprawnym ruchem sięga w dół, by po chwili wyciągnąć z wody ledwo widoczną sieć. Wypracowanymi, płynnymi, acz zdecydowanymi ruchami, metr po metrze kolejne partie sieci łądują między naszymi nogami. Kilka chwil i wreszcie jest: okoń. Potem kolejny.

Wszystko trwa dobre kilka godzin. Wciąż jeszcze jest rano, gdy docieramy do brzegu. Wieczorem sieci trafiają z powrotem do wody, a rano pracownicy gospodarstwa rybackiego znowu będą je wyciągać, metr po metrze. Dzień w dzień, póki trwa sezon.

Nie ma tutaj wielkiej techniki, jest rzemiosło, szacunek do pracy oraz do przyrody, która tę pracę daje. Bez tego nie będzie najważniejszego - ryb.

MORZE CZY JEZIORO

Jest coś takiego, że nad morzem instynkt oraz apetyt od razu nam podpowiadają, by zacząć szukać budki ze smażoną rybą i frytkami. Ryba jest zazwyczaj w złotej, chrupiącej panierce, podawana z zestawem surówek. I tu rozczarowanie. Bo niestety, jest duże prawdopodobieństwo, że ryba serwowana na polskim Wybrzeżu wcale nie pochodzi z Bałtyku, lecz przyjechała z obcych i dalekich łowisk.

Tymczasem gdy pojedziemy nad polskie jeziora, nie od razu intuicja kieruje nas w stronę rybnej smażalni. A to właśnie tu jest znacznie większa szansa na świeżą rybę prosto z wody. Lubimy jeść sezonowo i lokalnie. Na Warmii czy Mazurach mamy na to szansę, bo trudno o coś bar-

dziej tutejszego i sezonowego niż łowione tam ryby.

RYBY SŁODKOWODNE - POLSKA TRADYCJA

Słodkowodne ryby to zdecydowanie jeden z bardziej charakterystycznych elementów tradycyjnej polskiej kuchni. Gdy spojrzeć do dawnych ksiązek kucharskich - choćby tych pisanych na początku XX wieku - znajdziemy w nich gros przepisów na sandacze, okonie, sielawki. Dzisiaj tych ryb spróbować można właściwie tylko w miejscu, gdzie są łowione - nad polskimi jeziorami. Cały proces jest ściśle kontrolowany, by zachować biologiczną równowagę. Dzierżawcy jezior

wpierw zarybiają wody wybranymi, lokalnymi i typowymi dla danych akwenów gatunkami ryb, by po kilku miesiącach móc odławiać ryby o określonej wielkości oraz w określonej ilości. I bardzo często prosto z łódek i rybaczówek trafiają na stoły lokalnych restauracji i barów. Z jeziora na stół i w dodatku często na stół z widokiem na jezioro.

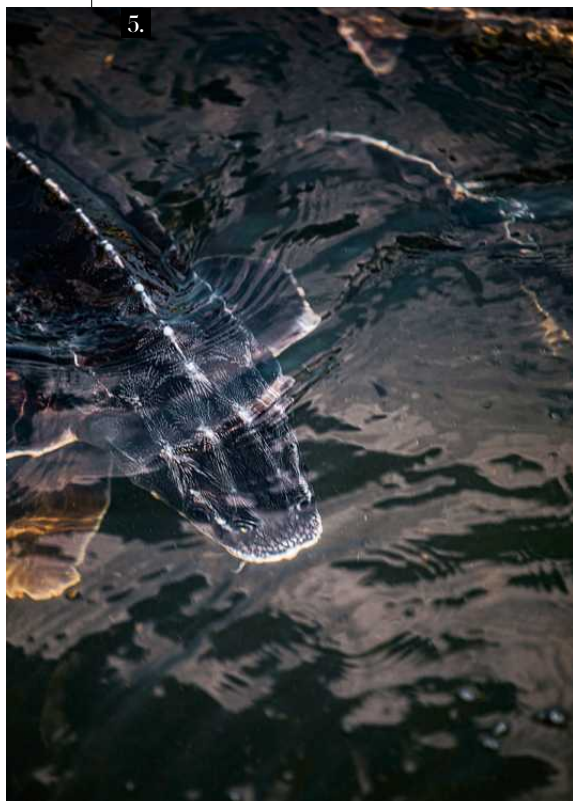
WARMIA I MAZURY - CZAS I MIEJSCE NA RYBĘ

Podróżując po Warmii i Mazurach, trafimy nie raz na szyldy wskazujące drogę do hodowli. Jedną z tych, które zdecydowanie warto odwiedzić, to Tradycyjna Wędzar-



Jest duże prawdopodobieństwo,
że ryba serwowana na polskim
Wybrzeżu wcale nie pochodzi
z Bałtyku, tylko z dalekich łowisk

1. Agroturystyka Łan Sztuk, Stare Kawkowo
2. Jezioro Wulpińskie
- 3 i 4. Restauracja Między Deskami, Tomaszkowo
5. Tradycyjna Wędzarnia Warmińska Jarosław Parol
6. Gospodarstwo Rybackie Szwaderki



nia Warmińska Jarosława Parola w Kabornie, niespełna 15 km od Olsztyna. Rodzinna firma narodziła się z pasji - do wody oraz lokalnych rybackich tradycji. Bijące tam krystalicznie czyste źródło dało możliwość założenia hodowli pstrąga w warunkach możliwie bliskich tych naturalnych. Hodowane tu ryby są na miejscu wędzone, a specjalnością firmy są też różnego rodzaju przetwory, rybne marynaty oraz galaretki gotowane w wywarze z warzyw. Te można kupić na miejscu lub na targu - Siedliskowym Wypasie - który w letnim sezonie odwiedza różne siedliska i agroturystyki.

W samym Olsztynie i jego okolicach w sezonie natknąć się też można na Rybusa. Pod tą nazwą kryje się food truck prowadzony przez doświadczonego szefa kuchni Łukasza Wojtasa, który pracę w restauracji postanowił zamienić na własny biznes oparty na wielkiej pasji do ryb.

Swoje umiejętności Łukasz Wojtas przekuł na oryginalne menu, nawiązujące

do street foodu, lecz naznaczone jego szefowskim sznyttem. Menu zmienia się właściwie nieustannie, w zależności od sezonu i dostępności produktów. Bazuje zarówno na lokalnych rybach słodkowodnych, jak i na morskich specjalach. Trafić możecie więc na bułkę z sumem lub zapiekankę z autorskim paprykarzem olsztyńskim (warto kupić go sobie na wynos jako jadalną pamiątkę z wakacji), smażone stynki (STYNKI!) z majonezem anchois, ceviche z pstrąga lub złociste fishcakes z pstrąga w sosie tatarskim, choć niech nie zdziwi was też czarna, maślana bułeczka ze smażonym na złoto krabem miękkoskorupowym czy sałatka z ośmiornicy - pasja Wojtasa nie zna geograficznych granic.

Komu marzy się rybna uczta z widokiem na jezioro, powinien odwiedzić restaurację Między Deskami w Tomaszkowie. Zachwycająca, nowoczesna, ale o architekturze idealnie wkomponowanej w krajobraz. Cieszy korzystanie z dobrodziejstw lokalnie łowionych ryb, które co rano dostarczane są do kuchni restauracji. Najlepiej zamówić warmińską zupę rybną lub, jeśli tylko trafimy na właściwy sezon, smażone okonki lub sielawki.

Z Tomaszkowa jedziemy do Olsztynka - nie tylko na słynne jagodzianki, ale też do Restauracji z Zielonym Piecem. Przypo-

minająca stary, rodzinnym dom, urządzona antykami, lampami o mosiężnych postumentach i koronkowymi serwetkami proponuje gościom jedzenie, które idealnie pasuje do panującej tu atmosfery: lina w śmietanie, smażonego sandacza z kremowym sosem, okonia z cebulką czy zupę na jeziornych rybach.

Życzymy smacznych wakacji! ♦

OGŁOSZENIA

9. **Olsztyn green FESTIVAL**
na Warmii i Mazurach
11-12-13 sierpnia 2023

ORGANIZATORZY:

AGORA^{SA} **wyborcza.pl**

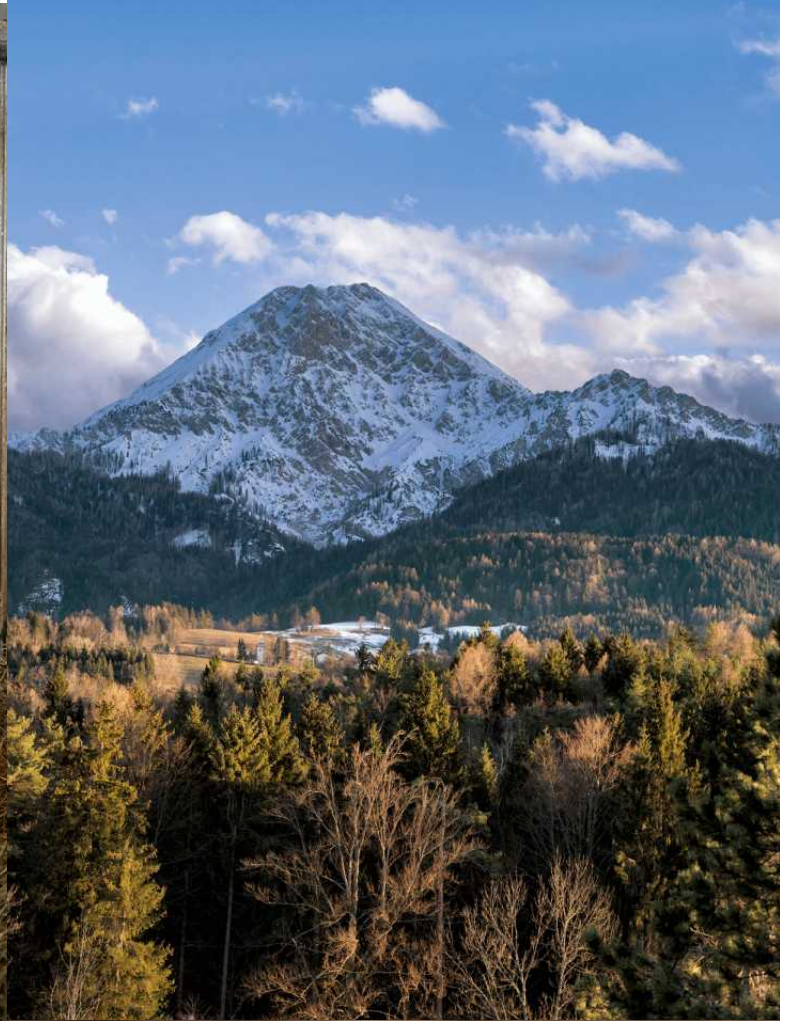
PARTNER GŁÓWNY:



ŚWIAT BEZ FILTRA Czy jest jeszcze możliwy?
OBSESJA JEN Portret Jennifer Aniston
HERSTORIA To Ruth Handler wymyśliła lalkę Barbie
ZWIĄZKI Kiedy seks nie działa



DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA



Babka karyncka to drożdżowe ciasto z bogatym wnętrzem z rodzynkami, orzechami i cynamonem

Babka z alpejskiej riwiery

Kraina 200 jezior jest położona na styku trzech kultur. Ich wpływy widać też na talerzu w austriackiej Karyntii

TEKST MAGDALENA GORLAS
ZDJĘCIA KAROLINA JONDERKO

Wysiadam z samolotu w Lublanie, jest wiosna, kilkanaście stopni powyżej zera. Zaledwie po godzinie drogi samochodem Słowenię zamieniam na Austrię i tak docieram do Karyntii, nazywanej słoneczną alpejską riwierą. Jest dużo słońca w ciągu roku, blisko do morza i śródziemnomorska atmosfera.

Karyntia, która graniczy z Włochami i Słowenią, ma też swoją regionalną kuchnię, łączącą wpływy trzech kultur. Można powiedzieć, że na ich bazie powstała kuchnia, którą śmiało można określić jako alpejsko-adriatycką. Ten, kto wybierze się do sąsiednich Włoch czy Słowenii, zawsze spotka „krewnych” specjalności karyntkich. Karyntkie pierogi z serem podawane są w wariacie włoskim, czyli ravioli, a na przykład słoweńskie danie pohača przypomina karyntką babkę reindling, czyli charakterystyczne ciasto drożdżowe wypełnione rodzynkami, cynamonem i cukrem.

W Arriach, geograficznym centrum Karyntii, wiosce położonej na wysokości 900 m n.p.m., witają mnie Teresa Benthén, przedstawicielka Slow Food Village, oraz Sigrid Reiner, lokalna edukatorka rolnictwa. Zabierają mnie do gospodarstwa rodziny Marinz,

gdzie w wielkiej kuchni zaczyna się wielkie gotowanie. Na dobry początek duma regionu, czyli karyntkie pierogi z farszem z ziemniaków, twarogu i mięty. Twaróg oczywiście własnej roboty, bo w tym gospodarstwie od pokoleń z czułością hoduje się krowy. Gospodarstwo Marinzów jest na liście Slow Food Village, takiej kulinarnej mapie Karyntii. Powstała, aby każdy odwiedzający ten region wiedział, gdzie zjeść najlepsze sery, mięso, ryby czy owoce. Własnej roboty i dobrej jakości.

W kuchni jest Katrina Marinz i jej córka Ingrid, pomagają też Teresa i Sigrid. Pełna współpraca. Najpierw ugniatamy ciasto na babkę karyntką, bo po jego zrobieniu trzeba poczekać przynajmniej godzinę, aż wyrośnie. Tyle czasu wystarczy, aby przygotować ciasto na pierogi. Farsz przygotowuje Sigrid. Każda albo coś miesza, albo gotuje. Stukają pokrywką, garnki parują, piekarnik rozgrzany. Wszystkie lepimy pierogi – na środku niewielkich kółek kładziemy twarogowy farsz, a Ingrid pokazuje mi, jak sprawnie zapieść ładną falbankę, zlepiając pierogi. Po kilkunastu próbach wychodzą mi pierwsze ładne. Pierogi karyntkie można zrobić nie tylko z twarogiem. Jest też wersja na słodko, czyli z nadzieniem z suszonych gruszek z cynamonem.

Następna w kolejności jest babka karyntka – drożdżowe ciasto z bogatym wnętrzem

z suszonych owoców, orzechów i cynamonu. Co ciekawe, jadana jest często z kwaśną zupą na bazie trzech rodzajów mięs – jagnięciny, drobiu i wołowiny – którą najczęściej przygotowuje się na święta. Do mięsnego wywaru gęsto zabielenego śmietaną i doprawionego ziołami zawsze dodaje się szafran. Połączenie babki i kwaśnej zupy smakuje osobliwie, warto spróbować, żeby sobie wyrobić własne zdanie. ♦



KARYNCKA BABKA REINDLING

1/2 kg mąki

7 g suchych drożdży

4 jajka (3 żółtka i jedno całe)

250 ml mleka

100 g masła

65 g cukru

4 łyżki rumu

1 opakowanie cukru waniliowego

szczypta soli

starta skórka z cytryny

NADZIENIE: 200 g masła

350 g cukru

100 g rodzynek

20 g cynamonu

Mleko, cukier, cukier waniliowy,

3 żółtka, jajko, sól i rum

podgrzewamy w rondelku (nie gotujemy) i ubijamy aż do wymieszania się składników.

W osobnym garnku rozpuszczamy masło i dodajemy pozostałe, wcześniej wymieszane składniki.

Mąkę, suche drożdże i skórkę z cytryny mieszamy i następnie łączymy z pozostałą masą.

Wyrabiamy ciasto, aż będzie miało jedwabistą konsystencję,

odstawiamy na godzinę

do wyrośnięcia, przykryte

ręcznikiem kuchennym.

W tym czasie przygotowujemy nadzienie. Mieszamy cukier

i cynamon oraz rozpuszczamy

200 g masła. Ciasto ponownie

zagniatamy, rozwałkujemy na grubość około pół centymetra.

Smarujemy masłem i posypujemy

równomiernie mieszaną

cynamonowo-cukrową

oraz rodzynkami. Zawijamy

i przekładamy do posmarowanej

masłem formy w kształcie

babki. Pozostawiamy do

wyrośnięcia w ciepłym miejscu

na kolejną godzinę. Następnie

nakuwamy powierzchnię kilka

razy. Rozgrzewamy piekarnik

do temperatury 160 stopni C

z termoobiegiem. Babkę pieczemy

około 50 minut.



Duma regionu to karyńckie pierogi z farszem z ziemniaków, twarogu i mięty



PIEROGI KARYŃCKIE

CIASTO: 500 g mąki

około 1/4 litra letniej wody

sól

2 łyżki oleju

1 jajko

FARSZ: 500 g twarogu

500 g ugotowanych ziemniaków

sól, pieprz, mięta, szczypiorek, natka pietruszki

1 cebula, por

Dodać trybulę i bazylię.

Najpierw wysypać na stolnicę mąkę, zrobić w środku dołek i wbić do niego jajko. Lekko posolić. Zagnieść, dodać odrobinę oleju i taką ilość wody, aby po zagnieceniu powstało gładkie ciasto. Uformować kulę, przykryć folią i odstawić na 30-45 minut. W tym czasie ugotować ziemniaki do miękkości, wystudzić, odcedzić i przecisnąć przez praskę do ziemniaków lub przetrzeć. Cebulę podsmażyć na maśle, dodać zioła, posolić i zdjąć z ognia.

Połączyć wszystkie składniki i wyrobić na gładką masę farsz do pierogów z serem. W razie potrzeby rozluźnić farsz śmietaną. Ciasto na pierogi rozwałkować cienko na posypanej mąką stolnicy. Odwróconą szklanką lub okrągłym wycinakiem wycinać krążki o średnicy około 10 centymetrów. Z farszu formować małe kulki lub układać farsz na plastrach ciasta łyżką. Brzegi ciasta posmarować rozbełtanym białkiem, złożyć na pół

i dobrze skleić. Brzegi pierogów mocno ścisnąć tak, aby powstały „falbanki”, i ułożyć na posypanej mąką desce. W dużym garnku zagotować osoloną wodę. Pierogi wrzucić do wody i – w zależności od ich wielkości – gotować na wolnym ogniu od 10 do 12 minut, aż do wypłynięcia. Wyjąć i ułożyć na talerzach. Przed podaniem polać dużą ilością roztopionego, zrumienionego masła.



1.



NA PRZEBARWIENIA

Nowa koreańska marka kosmetyków AXIS-Y zawiątała do Polski. Firma stosuje w swoich produktach technologię o nazwie 6+1+1 Advanced Formula™. W skład każdego kosmetyku wchodzi sześć bogatych w substancje odżywcze ekstraktów roślinnych. Do nich dołącza jeden składnik funkcjonalny, który działa na któryś problem skóry. Witaminowo-roślinne serum Dark Spot Correcting Glow AXIS-Y zawiera emolienty, kwasy NNKT, fitosterole, ma za zadanie rozjaśniać przebarwienia (50 ml / 142 zł).



EKSPERT Z KOREI

Iope to część dużej południowokoreańskiej firmy kosmetycznej Amorepacific. Jednym z jej bestsellerów jest serum z opatentowaną technologią Retinol 2500™, która zmniejsza zmarszczki, działa na gęstość i elastyczność skóry. Retinol Expert 0.1% (30 ml / 330 zł, us.aritaum.com).



2.

MASKI NA MAKSA

Maseczki w płachcie rozpropagowane przez Koreanki to dobry sposób na zrelaksowanie się po słonecznym dniu na plaży, zapewniają nawilżenie i odżywienie skóry.

1. Kimoco Beauty Snail, maska w płachcie z wąkrotą azjatycką, filtrem ze śluzu ślimaków, kwasem hialuronowym i rumiankiem (23 ml / 7,99 zł, rossmann.pl).

2. Odżywcza maska w płachcie Centella PureHeals zawiera ekstrakty z wąkroty azjatyckiej i komórek macierzystych zielonej herbaty (25 g / 12,99 zł, hebe.pl).

3. N.M.F Aquaring, Mediheal, nawilżająca maseczka w płachcie (27 ml / 9,80 zł).

4. Dr.Jart+ Cryo Rubber, maska w płachcie z kwasem hialuronowym (40 g / 45 zł).

5. Cliv Hexapeptide Repairing Ampoule, maska w płachcie z peptydami i żeń-szeniem do skóry pozbawionej jędrności (22 g / 17 zł).



3.



4.



5.



JEJU WIŚNIA

Popularna koreańska marka Innisfree kusi pastelowo-różowym opakowaniem kremu rozświetlającego cerę. To lekki żel nawilżający o konsystencji galaretki, który optycznie „wypełnia” i rozjaśnia skórę. Wyciąg z liści kwitnącej wiśni z wyspy Jeju rozświetla skórę i przywraca jej równomierny kolor, a betaina z buraków nawilża. Krem jest wegański (50 ml / 125 zł, sephora.pl, cosibella.pl).



NAWILŻACZE

Do cery wrażliwej i suchej jest krem Vegan Green Mild Intense koreańskiej marki Muldream. Łagodzi podrażnienia i długotrwale nawilża. Zawiera ceramid NP, beta-glukan, kwas hialuronowy, ekstrakt z portulaki, azjatykozyd, madekasozyd i ekstrakt z żeń-szenia (60 ml / ok. 77 zł). Z kolei naprawczy, nawilżający krem marki Pyunkang Yul zawiera olej z orzechów makadamia, masło shea, ceramid, ekstrakty z piwonii białej i korzenia kurkumy (100 ml / ok. 120 zł).



Kierowca *pan*

Matka potrąconej śmiertelnie dziewczynki powiedziała, że jeśli chcesz kogoś zabić, to samochodem. Bo wyjdiesz z sądu wolny

Z REPORTEREM BARTOSZEM JÓZEFIAKIEM
ROZMAWIA PAULA SZEWCZYK
ZDJĘCIA MARCIN STĘPIEŃ/
AGENCJA WYBORCZA.PL

K

Kierowca jadący przez miasto 126 km/h, który zabił pieszego na pasach, pytany, dlaczego jechał z taką prędkością, odpowiada: „Tak po prostu”. U sprawców śmiertelnych wypadków to tłumaczenie częste?

Ten kierowca odpowiedział tak na sali sądowej, w ten sposób się bronił. Wielu sprawców wypadku, z którymi rozmawiałem, czuło się ofiarami, miało poczucie, że to ich spotkała krzywda. Nie myśleli o tym, że kogoś zabili, przejechali staruszkę na pasach albo spowodowali wypadek, w którym zginęły dzieci. Rozmyślali raczej o tym, że społeczeństwo uważa ich za winnych, a oni przecież tylko jechali tu i tam, dostosowując się do jazdy innych. Czemu więc mają odpowiadać za wypadek, skoro „wszyscy tak jeżdżą”? Potwarzali też, że każdy przekracza prędkość, a oni po prostu mieli pecha, że akurat ktoś wszedł im pod koła. I nieważne, czy kierowca miał na liczniku 126 km, bo lubi szybką jazdę, czy ścigał się po mieście, czy po prostu śpieszył do pracy, świat nie powinien mieć do nich o to pretensji. Zresztą jeden z rozmówców przyznał, że po zdaniu egzaminu na prawo jazdy jeździł przepisowo, ale wszyscy wokół na niego trąbili. Czuł się na drodze „jak pizda”, więc się dostosował.

Znalazł się wśród nich taki, który powiedziałby: „Moja wina, faktycznie jechałem za szybko”, wziął na siebie odpowiedzialność?

Wśród osób, z którymi rozmawiałem, nie było ani jednej, która miałaby jakąkolwiek refleksję, że zrobiła coś złego. Gdy pierwszy raz spotkałem się z chłopakiem, który śmiertel-

nie potrącił staruszkę, płakał. Myślałem: musi być wstrząśnięty, płacze nad tą kobietą. Ale kiedy przyjechałem drugi raz do jego warsztatu - był mechanikiem samochodowym - i zapytałem go o nią, wzruszył ramionami, mówiąc, że i tak była stara, więc może jej świeczka miała zgasnąć, przyszedł na nią czas, po prostu. Zrozumiałem, że płakał nad sobą, bo groziło mu więzienie.

Pisząc tę książkę, sam zadawałem sobie pytanie, czy mógłbym doprowadzić do wypadku, też przecież zdarza mi się przekroczyć prędkość. Jak bym się wtedy zachował? Jak ułożył sobie to w głowie? Ale wydaje mi się, że nie każdy z nas mógłby spowodować kraksę, bo sporo osób ma z tyłu głowy poczucie, by zwolnić, bo coś jednak się może stać. Doszedłem też do wniosku, że dla kierowców, którzy zabili, jedynym sposobem na normalne funkcjonowanie jest wyparcie. Zrzucają z siebie winę na pieszego czy innego kierowcę, by sobie psychicznie poradzić i żyć dalej.

Wielu mówi: wina pieszych, pchają się na pasy, są jak ameby. Trochę jakby kierowca był panem na trasie, a przechodzień miał się dostosować, nie odwrotnie.

Może to przykład z nieco innego porządku, ale kojarzy mi się podobny mechanizm: kobieta, która doświadczyła przemocy seksualnej, zamiast uznania krzywdy słyszy, że mogła się inaczej ubrać, nie pić alkoholu na imprezie i nie wracać późno do domu. Chociaż to ona jest ofiarą przestępstwa, narracja jest taka, że zawiniła. Tak samo bywa na drodze, bo choć winny jest kierowca, wchodzi w rolę ofiary, podczas gdy prawdziwa ofiara wypadku mogła się np. lepiej rozejrzeć, zanim weszła na pasy, wtedy tragedii dałoby się uniknąć.

Myślimy w ten sposób nawet po zmianie przepisów, bo od zeszłego roku kierowca samochodu ma obowiązek przepuścić pieszego, a ten ma pełne prawo czuć się na pasach bezpiecznie.

Statystyki są nieubłagane. Jak wyliczasz, tylko 10 proc. wypadków to te spowodowane przez pieszego, w tym 5 proc. ze skutkiem śmiertelnym.

Bo to nie jest tak, że pieszy ma swoje racje, kierowca swoje, rowerzysta swoje i mogą mię-

dzy sobą dyskutować na temat bezpieczeństwa. Wszelkie statystyki pokazują, że to kierowcy zabijają na drogach, a piesi i rowerzyści w dużo mniejszym stopniu są winni wypadkom. Oprócz liczb wskazujących, że polscy kierowcy notorycznie przekraczają prędkość, są jeszcze przepisy inżynierii ruchu.

Ale w sensie kulturowym kierowca jest panem na drodze. Bywa, jak przy niedawnej zmianie przepisów, zaskoczony tym, że musi nieco się posunąć, zrobić komuś obok miejsce. Trochę jak przysłowiowy biały heteroseksualny mężczyzna z klasy średniej w Stanach, który czuje się zagrożony, bo ludzie kolorowi czy LGBT, domagając się głosu, w jego poczuciu chcą mu coś zabrać, więc zamiast uznać ich dyskryminację, mówi, że jest jej ofiarą. Kierowca czuje podobnie, bo odkąd pamięta, miasta były budowane pod niego, a nagle ktoś mu mówi, że jeździ za szybko, że już wszędzie nie wjedzie, że pieszy ma pierwszeństwo. To budzi ogromny sprzeciw.

Najbardziej w rozmowach z kierowcami w twojej książce zadziwia argument: „Jeźdź szybko, ale bezpiecznie”.

Takie myślenie to zaprzeczanie faktom, fizyce, biologii. Im szybsza jazda, tym większe ryzyko, że przy uderzeniu dojdzie do tragicznych skutków. Im szybsza jazda, tym większe prawdopodobieństwo, że mózg nie zarejestruje dokładnie, co się dzieje wokół, a tym samym będzie miał mniej czasu na reakcję. To kolejny argument racjonalizujący w głowach kierowców coś, czego obronić się nie da. Kojarzy mi się z figurą konserwatywnego mężczyzny, który wbrew danym nie będzie się szczepił na COVID, nie zrezygnuje z mięsa, będzie jeździł szybko i już, bo lubi, bo chce, bo może. Bo skoro całe życie tak jeździł i wszyscy tak jeżdżą, czemu nagle to ma być złe. Traktuje to jak zamach na wolność.

Racjonalizacja trzyma się u niektórych całkiem mocno. Inny kierowca przekonuje: „Ludziom się może wydawać, że zapierdałam, żyłuję, pałuję. A mnie się włącza koncentracja. Nauczyłem się przeczuwać zagrożenia”.

Powiedział tak chłopak z Łodzi, który jeździ oplem bertone przerobionym do szybkiej

jazdy. Lubi jazdę po mieście z wielką prędkością, samochody to jego pasja. Należy też do subkultury ścigających się nielegalnie w wyścigach, więc i on sporo sobie racjonalizuje. Tylko że dopóki chłopaki driftują – to jazda bokiem, poślizgi – na wynajmowanych placach, w porządku, takie hobby, mogą nie podzielać entuzjazmu, ale rozumie. Gorzej, jak wyścigi i nawyki z placu manewrowego przenoszą się na ulice miast, gdzie kierowcy nie są w stanie kontrolować otoczenia i przewidzieć, co się może wydarzyć za rogiem. Jak opowiadał, te wyścigi są czasem stąd, że podjeżdżasz na światła, łapiesz kontakt wzrokowy z kierowcą obok, który też ma wypasione auto, pewnie rozumie tę samą subkulturę co ty, więc bez słów zaczynacie cisnąć, kto pierwszy do następnych świateł. Tak pojawia się na liczniku nawet i 200 km/h w centrum miasta. To jest taki ich pokaz męskości.

Piszesz, że ma to związek z pić i z wiekiem.

Duża część tych kierowców to młodzi mężczyźni, pewni siebie, oddziałuje na nich testosteron. Kobiety dużo rzadziej są sprawczyniami wypadków, jeżdżą bezpieczniej. By to wyjaśnić, powołuję się na badanie niemieckiej naukowczyni, która twierdzi, że ci młodzi faceci coś sobie szybką, brawurową jazdą rekompensują. Ci ścigający się po mieście rzadko mają sukcesy na innych polach życiowych, więc dobre auto, prędkość dodają im statusu, znajdują w tym rodzaj spełnienia. Obok tego jest jeszcze męska potrzeba rywalizacji i brak w małej miejscowości perspektyw.

Jak mówi jeden z bohaterów, chłopaki „latają po mieście, bo co innego mają robić”.

To chłopak z Jeleniej Góry, gdzie podczas nielegalnych wyścigów dwie osoby zginęły na pasach. Dla tych kierowców w mniejszych miejscowościach ściganie się to czasem jedyne hobby, które daje poczucie wspólnoty, kontroli, a przy okazji adrenalinę i endorfiny. Czasem do myślenia kierowców w droższych autach dochodzi też element klasowy, kiedy w czasie wyścigów zderzają się z „byle jakim seicento”, przekonanie, że ci z „bieda-samochodów” to najgorsi kierowcy. Mówią w ten sposób, chcąc myśleć lepiej o sobie samych. Chcą wierzyć, że odpowiedzialność za wypadek ponosi kierowca „niedoświadczony”, „niedzielny”, nie oni, bo oni się znają, wiedzą, jak jeździć. A pieszy najlepiej, by takiemu kierowcy w dobrym aucie schodził z drogi i podziwiał, jak pruje przez ulice.

Zaskoczeniem było dla mnie to, że kierowcy pijani powodują tylko 7 proc. wypadków, myślałam, że ludzie giną, bo kierowca pił i wsiadł za kółko.



BARTOSZ JÓZEFIAK

(ur. 1987) – absolwent Polskiej Szkoły Reportażu. Współpracuje m.in. z „Dużym Formatem”. Nominowany do Nagrody Grand Press i Nagrody „Newsweeka” im. Teresy Torąńskiej. Autor reportażu „Wszyscy tak jeżdżą”

Bo policja i rządzący często o tym mówią, podkreślają, że będą pijanym zabierać prawo jazdy. Ale pijani kierowcy są tylko wygodnym chłopcem do bicia, też dla tych, którzy notorycznie przekraczają prędkość, bo zawsze mogą powiedzieć, że ten, który pił, jest gorszy. To on jest prawdziwym zagrożeniem, a ja może jeżdżę szybko, ale nigdy nie wsiadam po alkoholu jak oni, ci naprawdę odpowiedzialni. Trzeba z nimi zrobić porządek, nas zostawić w spokoju.

Dlatego też celowo o pijanych nie pisałem, żeby nie dołączać do chóru głosów, że trzeba się z nimi rozprawić najpierw. Uważam, że w pierwszej kolejności należy uporać się z kulturą „zapierdalania” na polskich drogach, bo to ona jest realnym problemem.

Jak to się dzieje, że osoba, która powoduje śmiertelny wypadek, po procesie wychodzi wolno do domu?

Z tych spraw, na których się skupiałem, a także z opinii prawników, którzy reprezentowali rodziny ofiar wypadków, wynika, że faktycznie tak bywa, że jeśli kogoś zabiłeś na pasach, a byłeś trzeźwym, młodym kierowcą, który „tylko” przekroczył prędkość, dostawałeś wyrok w zawieszeniu, czyli po prostu szedłeś do domu, jakby nic się nie stało. A jednak ktoś nie żył.

Zwykle argumentacja sądu jest taka, że osoba, która spowodowała wypadek ze śmiertelnym skutkiem, i tak poniesie psychiczne konsekwencje tego czynu, do końca życia będzie miała wyrzuty sumienia, więc

nie ma co jej za to dodatkowo karać, „życie marnować”.

Linia orzecznictwa się zmienia, bo też brak społecznego przyzwolenia na niskie wyroki rośnie. Sprawami interesują się dziennikarze i media, sędziowie nie mogą tego ignorować i zasądzać kary, niewielkie, jak dwa lata pozbawienia wolności, ale jednak. Niektórzy prawnicy postulują, by śmierć w wypadku drogowym traktować jak morderstwo, bo jadąc 120 km/h w miejscu, gdzie dopuszczalne jest 50, kierowca musi liczyć się z tym, że goś zabije. Matka dziewczynki, która zginęła na pasach, powiedziała, że jeśli chcesz kogoś zabić, to najlepiej samochodem, bo najpewniej wyjdiesz z sądu wolny do domu.

Jeden z bohaterów mówi, że to dramat, bo „ludzie się wpierdalali na przejście, to teraz już w ogóle będą wpadać”. A po zmianie przepisów liczba potrażeń na pasach się zmniejszyła.

To znowu ta relacja władzy, poczucie, że pieszy będzie się panoszył. Kierowcy są przekonani, że wolno im więcej, bo są w ruchu drogowym ważniejsi. Słyszałem czasem argument, że to oni płacą podatki, wydają tyle na paliwo, każe się im płacić za parking, więc skoro więcej wydają, to i więcej wymagają, powinni mieć więcej praw. Ale to pokłosie myślenia w kategoriach darwinizmu społecznego, gdy wygrywa i przetrwa najsilniejszy. A ja jestem zdania, że społeczeństwo tym sprawiedliwsze, im bardziej dba o tych najsłabszych, w tym wypadku o pieszego, który przecież w starciu z maszyną pozostaje zupełnie bezbronny. ♦



BARTOSZ JÓZEFIAK
„Wszyscy tak jeżdżą”,
wyd. Czarne

Droga Angelo

S Y L W I A
C H U T N I K



Feministki albo oskarżane są o to, że się czepiają, albo że nic nie robią w konkretnej sprawie. Zawsze źle. Ale jednym z najczęściej pojawiających się argumentów jest ten, że żyją w lewicowo-akademickiej bańce i nie dostrzegają problemów „prawdziwych” kobiet. Zastanawiam się od lat, kim są te mityczne kobiety i czym mają się różnić od „nieprawdziwych” feministek. Portfelem, miejscem zamieszkania czy kolorem oczu?

A przecież feministyczne działania zawsze nakierowane są na różne obszary doświadczeń kobiet. Choćby kwestia przeciwdziałania przemocy – ta dotyka wszystkie klasy społeczne, adresy i zawody. Gdyby nie feministki, to nie byłoby w naszej kulturze antykoncepcji, rozwodów, wychodzenia bez mężczyzny czy pani Pawłowicz w parlamencie (tak, sorry, jesteśmy za prawami obywatelskimi dla kobiet). Dlatego też ważne jest, aby podkreślać otwartość ruchów feministycznych niezależnie od tego, kim jesteśmy.

Czytam po raz kolejny zbiór esejów „Kobiety, rasa, klasa” Angeli Y. Davis. To postać niewygodna dla wielu grup. Jako czarna feministka i marksistka nie cieszy się sympatią w naszym kraju po 1989 roku. Jak wiele innych działaczek została świadomie zapomniana, chociaż kiedy aresztowano ją na początku lat 70., to wysyłano do niej kartki z całego świata, również z Polski. Jedna z anonimowych osób napisała życzenia urodzinowe: „Kochana Angelo, życzę ci wiele szczęścia i żebyś zawsze była taką dzielną i bohaterką dziewczyną”. Spełniło się, całe życie tej aktywistki jest tego dowodem.

81-letnia ikona ruchu na rzecz wyzwolenia Afroamerykanów i praw kobiet, członkini Czarnych Panter jest od wielu lat pisarką, profesorką i szanowaną postacią w Stanach. Oczywiście nie zawsze tak było, ponieważ antyrasistowskie działania były wprost nakierowane na dyskryminujące prawo amerykańskie i nie przynosiły poklasku, tylko policyjne pałki. Znamy to z historii rewolucyjnych aktów, krwawych batalii, które pochłonęły wiele ofiar, w tym Malcolma X czy Martina Luthera Kinga. O mały włos Davis nie podzieliłaby ich losu, bo jej bezkompromisowość przysparzała jej wrogów. Nie bała się głosić poglądów, które dla wielu osób były nie do przyjęcia. Nawet teraz, po latach, kiedy czytam jej wynurzenia o pracy opiekuńczej, która jest rzekomo „poniżająca”, to mam ochotę wsiąść w samolot i lecieć pokłócić się z tą panią. Jednocześnie jednak czuję wobec niej ogromny szacunek właśnie za to, że nie boi się mówić tego, co myśli.

Zawdzięczamy jej również analizę ruchów społecznych pod kątem interseksjonalności. Co to znaczy? Takie podejście zaprasza nas do zrozumienia dynamiki między współistniejącymi tożsamościami osób, które identyfikują się na przykład jako kobiety, lesbijki, czarne, a połączonymi systemami dyskryminacji. Jednym słowem: społeczne i kulturowe kategorie przecinają się ze sobą, nakładają na siebie, zająbiają i wzmacniają. Nie ma sensu skupiać się tylko na problemach jednej grupy społecznej, najczęściej białej z klasy średniej. Bo jej problemy są inne – i wcale nie „uniwersalne” – niż na przykład samo-

dzielnej mamy dzieci z niepełnosprawnością, która wpadła w spiralę długów. Albo migrującej osoby po siedemdziesiątce, która cały dobytek trzyma w torbie. Nic jej nie dadzą akademickie analizy, jeśli nie będzie brana pod uwagę właśnie ta specyficzna perspektywa.

Termin „interseksjonalność” został ukuty przez amerykańską obrończynię praw obywatelskich i profesor prawa Kimberlé Crenshaw, a badaczka Mary Romero rozwija go w ten sposób: „Nie dotyczy on różnorodności ani wielokulturowości, ale relacji władzy, w szczególności sposobów, różnicy ucisku”. Pozwala zauważyć, że każda osoba funkcjonuje w sieci zależności, które wpływają na jej pozycję społeczną. Skupia się na tym, jak płęć krzyżuje się z innymi wymiarami życia. Mogę być „biała i heteroseksualna”, że już użyję tej kalki, ale być osobą z niepełnosprawnością. Czy będę mogła o sobie powiedzieć, że mam

Czytam po raz kolejny zbiór esejów „Kobiety, rasa, klasa” Angeli Y. Davis. *To postać niewygodna dla wielu grup*

te same doświadczenia co moja koleżanka, która nie porusza się na wózku? Nie, zwłaszcza jak będziemy się chciały spotkać na mieście i nie będzie podjazdów. Szerokie spojrzenie pozwala zauważyć różne problemy, które nie są naszym doświadczeniem. I nie trzeba tu nawet trudnego słowa, wystarczy wspomnieć empatię, współodczuwanie. Poszerzenie perspektywy nie tylko daje możliwość włączenia osób z różnym doświadczeniem i tożsamością, ale i nauczyć nas nowego świata. Dzięki temu – i tu kolejne magiczne wyrażenie – będzie różnorodnie, czyli z większą paletą barw i nastrojów. Nie jest to jednak naiwna bajeczka o Nowym Wspaniałym Świecie (choć potrzebuję takich!), ale realne patrzenie na ludzkie problemy. Bo, jak podkreślała Davis, „feminizm obejmuje znacznie więcej niż równość płci. I obejmuje znacznie więcej niż samą płęć”. To po prostu całościowa zmiana, dla wszystkich. ♦

Korzystałam z książki Angeli Y. Davis „Kobiety, rasa, klasa” (tłum. Dariusz Żukowski, posłowie Magdalena Fidelis), wydawnictwo Karakter, oraz „Introducing Feminism” Cathii Jenainati, Judy Groves i Jem Milton (Icon Books)

Sylwia Chutnik – pisarka, felietonistka, feministka, działaczka społeczna. Napisała m.in. „Kieszonkowy atlas kobiet”, „Warszawę kobiet”, „W krainie czarów”

Knowledge at work.



 **MITSUBISHI
ELECTRIC**
Changes for the Better



Klimatyzacja dla Twojego komfortu



mitsubishi-les.com



Seria MSZ-LN dostępna
w 4 wariantach kolorystycznych